Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

Cena 10 zł

WIEŚ

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok IV | Łódź, 20 kwietnia 1947 r. | Nr 16 (95)

Julian Ratal

W odwiedzinach u czeskich rolników

Pierwsza wycieczka przedstawicieli Związku Samopomocy Chłopskiej na ziemi czeskiej miała miejsce w końcu marca br. Jakkolwiek trwała zaledwie tydzień, to jednak różniła się niepomiernie od zwyczajnych wyjazdów zagranicznych, nie tylko napięciem emocjonalnym z racji niedawno zawartego zasadniczego porozumienia Polski i Czechosłowacji. Był to przede wszystkim fakt zetknięcia się dwóch chłopskich organizacyj zawodowych sąsiadujących krajów słowiańskich. Była to pierwsza wymiana zdań, strzał startowy zapoczątkowujący nie tylko wzajemne kontakty i zbliżenia, ale konkretną współpracę na polu organizacyjnym i gospodarczym zawodowo-rolniczym.

Dla przybysza z Polski dotkniętej głęboko zniszczeniem wojennym, przejazd przez Czechy już od granicy w kierunku Pragi dostarcza niepowszednich wrażeń, które rosną w miarę posuwania się w głąb kraju. Nie widać zniszczonych miast i wsi. Wprost przeciwnie, wydaje się, że kraju tego nie nawiedziła wojna, tak cało i dostatnio wyglądają osiedla ludzkie, miasteczka i miasta.

Z drugiej strony nasuwa się porównanie z naszymi niezniszczonymi połaciami Ziem Odzyskanych, gdzie uderza przede wszystkim upodobnienie wsi do miasta w zakresie budownictwa i zastosowania techniki, następnie uprzemysłowienia oraz sieci doskonałych dróg. Dymią niezniszczone fabryki, znikają strzechy słomiane i drewniane budynki. Jednym słowem kraj o zdecydowanie innym, dużo wyższym stopniu rozwoju gospodarczego, w którym rozwój ten nastąpił dawno i przemienił strukturę gospodarczą kraju, upodabniając ją do struktury krajów zachodnio-europejskich. Nieporównanie wyższy od naszego stopień uprzemysłowienia kraju jest widoczny we wszystkich fragmentach ogólnego obrazu ziemi czeskiej; technika rozprzestrzeniła tu swoje zdobycze i uczyniła je cechą dominującą i nieodłączną przeciętnego, materialnego obrazu kraju.

Potwierdzenie możliwości czeskiej wytwórczości przemysłowej widzimy na wiosennym jego pokazie w Pradze, na targach praskich. W olbrzymim, prostokątnym, sześciopiętrowym gmachu, Prażske Vzorkove Veletrny (Praski Pałac Targów Wzorów) oraz w pawilonach sąsiadującego terenu wystawowego rozłożone są eksponaty produkcji przemysłowej wszelkich gałęzi przemysłu całego państwa. W wystawie uczestniczą zarówno przedsiębiorstwa upaństwowione jak i wytwórczość prywatna. Wystawa zwiedzana jest masowo. Nieprzerwany pochód tłumu zwiedzających krąży zwartą masą po odsłoniętych od wnętrza korytarzach wszystkich pięter potężnej budowli głównego pałacu wystawowego, niby krwiobieg potężnego organizmu.

Taki pokaz na tle Pragi, wspaniałego miasta, którego mury splatają przeszłość historyczną narodu czeskiego z nowoczesnymi, świetnymi dzielnicami, czyni na mieszkańcu naszej stolicy Warszawy wrażenie normalności i niezakłóconego życia. To co w Warszawie jest obrazem miasta, w Pradze Czeskiej ogranicza się do niewielu spalonych czy zburzonych budynków z ratuszem staromiejskim na czele, gdzie broniący się przez parę dni powstańcy Pragi uwolnieni zostali przez nadejście Czerwonej Armii w pamiętnych, ostatnich dniach wojny.

CZECHY, KRAJ WYSOKO PRZEMYSŁOWY

Jeżeli na pierwszy rzut oka ziemia czeska uderza jako kraj o daleko wyższym stopniu zaawansowania technicznego i ogólno-gospodarczego, to warto przytoczyć garść wiadomości na temat źródeł tego stanu rzeczy. Odrzućmy na chwilę w tych rozważaniach przy porównaniu z Polską element tak bardzo ważny w obecnej dobie, jak zniszczenia wojenne, a sięgnijmy do czasów przedwojennych, czasów pracy pokojowej. O dobrobycie społeczeństwa stanowi nie tylko ilość pracy, ale jakość tej pracy i jej kierunek. Ilość pracy wykonywanej w Polsce nie jest mała, ale jest ona dokonywana wciąż jeszcze z małym stosunkowo zasobem środków technicznych, maszyn i ulepszonych narzędzi pracy. Jednym słowem słabe jeszcze jest u nas nagromadzenie kapitału w znaczeniu technicznych środków produkcji. Im większe bowiem jest umaszynowienie i utechnicznienie gospodarki narodowej, tym większy jest jej produkt, a im bardziej nowoczesny jest cały aparat wytwórczy, tym bardziej wartościowy jest wynik produkcji czyli dochód społeczny. Na aparacie wytwórczym dawnych ziem polskich ciąży zacofanie techniczno-wytwórcze datujące się jeszcze z czasów zaborów, kiedy to wszystkie dzielnice kraju były w większym lub mniejszym stopniu pozbawione przemysłu względnie odsunięte od korzystania z jego dobrodziejstw. Przykładem jaskrawym a zarazem najbardziej przydatnym dla porównawczych rozważań jest historia gospodarcza naszych województw południowych, które, znajdując się wraz z krajami obecnej Czechosłowacji w obrębie monarchii habsburskiej, były jej polityką świadomie upośledzane gospodarczo pod każdym względem; powstał tu typowy kraj rolniczy z ogromnym przeludnieniem wsi, najgorszą strukturą gospodarstw rolnych. Nie dopuszczano świadomie do rozwoju przemysłu, którego terenem stały się właśnie ziemie czeska i morawska. Oczywiście przewrót gospodarczy jaki przyniósł pochód techniki przemysłowej wywarł wpływ na całość gospodarki narodowej w Czechach wiele dziesiątków lat wcześniej niż u nas, zwłaszcza biorąc pod uwagę fakt, że nasze dwudziestolecie międzywojenne, z racji charakteru rządów przedwrześniowych, nie przyczyniło się do istotnego postępu naszej gospodarki narodowej.

Tak wielki dystans w czasie nie uchodzi i stał się dostateczny dla zakwalifikowania organizmu gospodarczego Czechosłowacji jako kraju o wysokim poziomie gospodarki kapitalistycznej (ciągle w znaczeniu poziomu techniki wytwórczej), zaś Polski do krajów rolniczych, objętych częściowo gospodarką kapitalistyczną. Wystarczy wziąć cyfry dochodu społecznego Czechosłowacji, w którym produkcja przemysłowa uczestniczy aż 60 proc. udziałem zaś rolnicza liczy 36 proc., podczas gdy Polska ma stosunek gorszy niż wręcz odwrotny, gdyż rolnictwo stanowi u nas prawie 2 razy więcej (68 proc.), zaś przemysł 2 razy mniej (26 proc.) w dochodzie społecznym. Znajduje to swój wyraz dobitny w wartości dochodu społecznego przypadającego przeciętnie w latach przedwojennych na głowę ludności. Otóż ta przeciętna w Czechosłowacji jest prawie 3-krotnie wyższa niż w Polsce. Jeżeli Czechosłowacja jako kraj 4 razy mniejszy powierzchnią, o 2 i pół raza mniejszej ludności produkował w r. 1937 surówki 1,7 mil. ton, stali 2,3 mil. ton, podczas gdy dla Polski odnośne cyfry brzmią 1,1 i 1,5 mil. ton, to można sobie uzmysłowić jak wielokrotnie większe były podstawy w Czechosłowacji do stworzenia w tym kraju struktury przemysłowo-gospodarszej.

Rozważane wielkości statystyczne odnoszą się do całego państwa czechosłowackiego; składają się na nie jako na przeciętne różne poziomem gospodarczym kraje jak Czechy, Morawy oraz Słowacja. Jeśli uwzględnimy, że przeciętny, przemysłowy charakter całości struktury gospodarczej tego państwa zawiera składnik w postaci nawskroś rolniczej Słowacji, to same Czechy tym bardziej uwypuklą swój dominujący charakter wysoko przemysłowy.

PRZEMYSŁ MODERNIZUJE ROLNICTWO

Niejednokrotnie daje się słyszeć u nas fałszywy pogląd, że tylko bezpośrednie, jednostronne nakłady czysto rolniczego charakteru mają znaczenie dla podniesienia dochodowości i rozwoju rolnictwa. Obserwacja Czech jest materialnym zaprzeczeniem tego błędnego stanowiska kierowanego albo złą wolą, albo nieświadomością, jest zarazem potwierdzeniem faktu, że wzrost przemysłu jest zarazem wzrostem możliwości unowocześnienia rolnictwa przez wyposażenie go zarówno w udoskonalone środki produkcji i urządzenia techniczne jak również w środki transportu oraz wszelkie inwestycje stałe i ruchome aparatu wymiany.

Materialny obraz Czech przekonuje o tym, że kraj ten dawno już przekroczył w swej strukturze zawodowo - ludnościowej punkt 50 proc. ludności nierolniczej, co dla nas ciągle jest celem gospodarczym, omal mistycznym do czasów wojny, a obecnie będzie możliwym do osiągnięcia dzięki wyzyskaniu potencjału przemysłowego Ziem Odzyskanych. Jeśli najpierwszym warunkiem rozwoju nowoczesnego i racjonalnego rolnictwa jest wyciągnięcie nadwyżkowej i zbędnej ludności wiejskiej, to zdolny to jest uczynić tylko przemysł i inne zawody pozarolnicze. Ten proces Czechy już przebyły i tym samym stworzyły podstawowe warunki dla powstania dochodowości rolnictwa. Reszty dokonało rosnące zaopatrzenie wsi w dobra produkcyjne i konsumcyjne płynące strumieniem ze strony potęgującego się przemysłu.



Pejzaż dolnośląski — Rys. T. Sobolewski

(Patrz art. „Nad Nysą", str. 5)

Stąd też można było zaobserwować szeroko zakrojoną mechanizację rolniczych terenów, wyposażonych w maszyny i traktory. Już obecnie zasięg stacyj traktorowych obejmuje 20 proc. ogółu wsi czeskich, a w roku bież. dojdzie do 40 proc., jak przewiduje dwuletni narodowy plan gospodarczy. Jest rzeczą jasną, że realizację tak znacznych etapów umożliwiają nie tylko dostawy UNRRA i pozostałości traktorów poniemieckich, lecz i produkcja praktycznych i dostosowanych do warunków krajowych, małych traktorów 25-cio konnych Zetorow (Zbrojówka) i Skoda.

Są powiaty, jak słynny Żatec — powiat uprawy „zielonego złota" czyli chmielu, w którym istnieje centralna powiatowa stacja maszynowa, wyposażona w kilkanaście traktorów oraz żniwiarek-wiązałek produkcji znanej czesko-morawskiej firmy „Knotek"; stacja w tym powiecie rozporządza dużym warsztatem mechanicznym, zatrudniającym 40 ludzi, który dokonuje nie tylko reparacyj ale i remontów maszyn rolniczych i traktorów. Prócz powiatowej stacji maszynowo-traktorowej zorganizowanej na zasadach spółdzielczych, na poszczególnych wsiach (w Czechach nie ma gmin) znajdują się punkty maszynowe i traktorowe obsługujące najbliższy teren; w omawianym wypadku 1 traktor wypada na 160 ha ziemi ornej. Wszystkie stacje traktorowo-maszynowe oparte są o spółdzielnie (družstwa).

Obrót artykułami zaopatrzenia rolnictwa, jak również produktami rolnymi odbywa się za pomocą sieci spółdzielni powiatowych i ich „filiałek" na wsi. Są to zasadniczo spółdzielnie wszechstronne, obejmujące swym zakresem całość potrzeb rolnika. Są spółdzielnie, które potrafiły opanować od 60 do 90 proc. obrotu inwentarzem żywym, zbożem, 100 proc. produkcji mleka tak, że znaczenie pośrednictwa prywatnego praktycznie zostało wyeliminowane. Uderza wszędzie dobre wyposażenie spółdzielni w budynki, magazyny, urządzenia mechaniczne oraz środki transportowe, dzięki którym staje się ona skutecznym i sprawnie działającym instrumentem potrzeb chłopa czeskiego. W ten sposób postępujący proces mechanizacji produkcji rolnej z jednej strony oraz ekonomiczność spółdzielczego funkcjonowania zaopatrzania i zbytu zaczyna stwarzać dla rolnika pewną premię kulturalną w postaci zaoszczędzonego czasu pracy.

CZESKI „ZEMEDELEC" A POLITYKA

W kraju, gdzie tradycje ludowego społeczeństwa sięgają w przeszłość o wiele głębiej niż gdzie indziej, gdzie w obecnych czasach zwycięstwo polityczne w wyborach do parlamentu odniosła partia komunistyczna, znajdują się społeczne rezerwaty zacofania, którego siedliskiem jest drobnomieszczaństwo, takie same jak w każdym kraju. Taki przeciętny drobnomieszczanin nie odczuwa jak należy przemian polityczno-społecznych i korzyści jakie z sobą przynoszą człowiekowi pracy; gotów on jest powitać z równą serdecznością jeden lub drugi kierunek ewolucji ustrojowej, byleby tylko miał gwarancję dosytu i niezakłóconej wegetacji osobistej, bez żadnego względu na sprawy otoczenia społecznego.

I czeski rolnik (zemedelec) jest konserwatywny, jak wyraził się pewien doświadczony chłop, wykształcony agronom. Równocześnie jednak dodał, że mimo to winien on realizować postulaty, które nakazuje wypełniać polityka. Jest to prawdziwie praktyczne wyznanie wiary tak charakterystyczne dla czeskiego rolnika-chłopa, wypowiedziane przez agronoma społecznego działającego w zawodzie rolniczym

dziesiątki lat i znającego niewątpliwie dobrze środowisko wiejskie. Tkwi w tym sens głęboki, w którym pewien konserwatyzm obyczajowy podaje rękę wymogom każdoczesnej epoki i jest w tym swoim praktycyzmie życiowym siłą rzeczy postępowy, powodując się zdolnością przystosowania do nowej sytuacji. Wygląda na to, że chłop czeski chłopem został, ale równocześnie stał się człowiekiem cywilizowanym, użytkującym szeroko zdobycze materialne.

Gospodarstwa chłopskie nie są prowadzone sposobem tradycyjnym, nie dążą do samowystarczalności. Specjalne kierunki produkcji rolniczej dające największe rezultaty gospodarcze w oparciu o warunki rejonizacyjne rolnictwa są cechą dominującą. Hodowla zwierzęca i uprawy specjalne to są nie tylko dążenia, lecz już w dużej mierze zrealizowane zagadnienia, stając się istotną dźwignią dochodowości chłopskich warsztatów rolnych.

Cały terenowy aparat instruktorski agronomii społecznej jest również dostosowany do potrzeb specjalizacji produkcji rolnej. Rozmieszczenie bowiem placówek tego aparatu nie odpowiada jednostkom administracyjnym państwa, lecz poszczególnym rejonom rolnictwa. W ten sposób następuje zgranie działalności fachowej człowieka z warunkami naturalnymi.

Społeczeństwo czeskie cechuje dyscyplina społeczna; docenia ono konieczności polityczno-gospodarcze państwa jako całości i uznaje potrzebę takiej organizacji, jaka jest najkorzystniejsza w danym okresie czasu dla całości. Aby przyśpieszyć wyjście z trudności gospodarczych, jakie po wojnie nie ominęły nawet takich stosunkowo mało nadwyrężonych gospodarstw narodowych jak czechosłowackie, należy uzupełnić zaopatrzenie gospodarki narodowej importem potrzebnych towarów, za który trzeba płacić dewizami. Zdobywanie tych środków na import odbywa się przez forsowanie eksportu jak najbardziej wartościowych i luksusowych produktów własnych, które nie są do nabycia na rynku wewnętrznym; w wymianie wewnętrznej obowiązuje racjonalizacja i nabywanie towarów na kartki. Te konieczności obowiązują wszystkich i dają wyniki dodatnie dzięki dyscyplinie społecznej i zrozumieniu potrzeb ogólnych. Ceny tych samych artykułów na przedmieściu Pragi i w centrum miasta nie wykazują różnic.

Ta dyscyplina społeczna, praktyczna na codzień, łączy się z pracowitością i skupieniem widocznym na twarzach ludzi, może nie śpieszących się zbytnio i nie pracujących tak gorączkowo, (jak u nas na wielu odcinkach) jakby pewnych, że opierają się o niezniszczony wysoki szczebel rozwoju gospodarczego. My wychodzimy ze stadium zniszczeń wojennych, o których chcemy zapomnieć jak najszybciej; stwarza to pewną gorączkę czynu i szybkość działania na wielu zwłaszcza podstawowych odcinkach życia. Chcemy równolegle załatwić problem odbudowy, jak i dopędzić nasze zacofanie gospodarcze datujące się z przeszłości.

Postulat polityczny, tym razem w czystym tego słowa znaczeniu, znajduje swoje odbicie w stosunku do zasług Czerwonej Armii i w ocenie przyjaźni z Rosją Radziecką. Widoczne to jest zarówno w ośrodkach fabrycznych jak i w ośrodku wiejskim. I na wysokich rusztowaniach obiektów przemysłowych w miastach, i na budynkach wiejskich spotyka się nierzadko symboliczne znaki sierpa i młota względnie czerwoną gwiazdę.

Czesi podkreślają fakt, że Polska jest krajem, w którym nastąpiło większe zaawansowanie polityczno-ustrojowe, że demokratyzacja życia społeczno-gospodarczego poczyniła u nas większe postępy. Przyznają, iż np. reforma rolna została u nas przeprowadzona w pełni, podczas gdy Czechosłowacja nie doprowadziła u siebie do końca przebudowy ustroju rolnego. Odpowiednie prospekty dekretów są jednakowoż w przygotowaniu.

BRATERSTWO POLSKO-CZESKIE

8-dniowy pobyt delegacji Związku Samopomocy Chłopskiej w Czechach od pierwszej chwili przybycia aż do momentu odjazdu upłynął w atmosferze bardzo serdecznego przyjęcia ze strony Ministerstwa Rolnictwa, Zjednoczonego Związku Czeskich Rolników, jako odpowiednika polskiej Samopomocy Chłopskiej oraz delegatów poszczególnych central spółdzielczych w Pradze.

Delegaci polscy byli kolejno gośćmi wymienionych instytucyj centralnych oraz wielu rolniczych i spółdzielczych ośrodków terenowych. Każde zetknięcie się czy to z instytucją centralną, czy z poszczególną placówką terenową aż do małej „kampeliczki" (coś w rodzaju kasy Stefczyka), zamieniało się w istną manifestację przyjaźni i serdeczności dwóch bratnich narodów słowiańskich. Wszędzie podkreślano konieczność konkretnej współpracy gospodarczej, kulturalnej i politycznej. Każdy przyjazd do powiatowego miasta celem zwiedzenia pewnych obiektów gospodarczych spotykał się z serdecznym przyjęciem ze strony miejscowej rady narodowej.

Zaznajomienie się z organizacją zawodową czeskich chłopów przekonało nas, że istnieją zasadnicze podobieństwa obydwu związków: polskiego i czechosłowackiego pod względem zadań i celów, które realizują. Związek czeski powstał również z ducha reformy rolnej i tkwi swą podstawą światopoglądową w nurcie współczesnych przemian społeczno-gospodarczych.

Delegacja Zw. Sam. Chłopskiej była również parokrotnie gościem Ministra Rolnictwa Juliusza Durisza. Jednym z najsympatyczniejszych momentów pobytu na ziemi czeskiej było powitanie delegacji ZSCh przez ogólno-krajowy zjazd czesko-słowackich agronomów, którzy w liczbie kilkuset manifestacyjnie przyjęli pojawienie się delegacji na sali obrad prowadzonych pod przewodnictwem Ministra Durisza.

Minister Durisz wyraził nadzieję, że ta pierwsza po wojnie wizyta polskiej chłopskiej organizacji zawodowej rozpocznie następny okres stałej współpracy fachowej w dziedzinie rolniczej obydwu krajów przez wymianę fachowców, studentów, stałą informację o wzajemnych potrzebach i osiągnięciach.

Dążeniem bratnich narodów słowiańskich winno być ułożenie planowej wymiany gospodarczej jako najlepszej i najpewniejszej podstawy do trwałego ułożenia wszelkich stosunków.

Na miesiąc maj zapowiedziana została liczna wycieczka czechosłowackich rolników do Polski.

Julian Rataj

A. I. Mołodczykow

PRZYRODA i MISTRZOWIE*)

tłum. Tadeusz Chróścielewski

ZMIANY w przyrodzie dzieją się w olbrzymich odległościach czasowych, toteż mimowoli jesteśmy skłonni patrzeć na nią jako na coś skończonego, zamkniętego. To ogólne psychiczne nastawienie znalazło w XVII w. wyraz w długo utrzymującej się teorii Szweda Linneusza o stałości gatunków. Teorię tę obalił jak wiadomo uczony angielski Charles Darwin w dziele „Pochodzenie gatunków" — 1859 r. (słynna teoria Darwina). W przyrodzie żywej zachodzą stale zmiany w kierunku przystosowania do zmieniających się warunków życia (dzieje się to wskutek t. zw. doboru naturalnego — selekcji powodowanej bezpotomnym ginięciem słabszych osobników w walce o byt. Czynniki współdziałające — to istnienie cech wyróżniających u każdej zjawiającej się na świat istoty, jednocześnie zaś dziedziczność). W tę automatyczną, ślepą pracę przyrody wkroczył człowiek, zrazu, w przedhistorycznych czasach nieświadomie. Dochodzi do tz. doboru sztucznego. Skutek — to przerodzenie się niektórych gatunków roślin trawiastych w zboża, a drzew — w drzewka owocowe. Poczym inwencja człowieka ustała (stosunkowo największa jeszcze w hodowli). Toteż przyzwyczajone do statyczności wczorajszego życia wiejskiego oko — gotowe widzieć w niej błędnie jeden z elementów integralnej przyrody, niezmienny od „dni stworzenia". Takie spojrzenie spowodowało ongiś narodzenie się sentymentalizmu Rousseau, pokutującego niejednokrotnie w poglądach na wieś i w teraźniejszości.

Darwin otworzył przed nauką olbrzymie perspektywy: możliwość wtórnej, świadomej już ingerencji w jej życie (udoskonalenie i podporządkowanie m. in. drogą selekcji i krzyżowania). W tym kierunku poszła momentalnie praca uczonych całego świata, dając w krótkim stosunkowo czasie nadspodziewane wyniki. Szczególnie duże zasługi położyła nauka amerykańska — Luter Bearbank. Wytężoną pracę naukowo-odkrywczą prowadzi Rosja, gdyż dla niej udoskonalenie rośliny i dostosowanie do niesprzyjającego klimatu wobec ogromnej rozpiętości klimatycznej Związku i istnienia olbrzymich *deficytowych lub zerowych* gospodarczo obrazów posiada kolosalne znaczenie. Nauka polska ma tu również znaczne osiągnięcia — działalność naukowa dr. Lucjana Filewicza w jego słynnych sadach jabłoniowych w Sinołęce p. Węgrowem.

Śmiałe osiągnięcia w tej dziedzinie uczonych rosyjskich ujmuje ciekawa broszura Mołodczykowa „Jak człowiek zmienia roślinę", której fragmentaryczne tłumaczenie podajemy niżej.

W charakterze tamtejszej pracy naukowej uderza, obok śmiałości, jej uspołecznienie — traktuje się ją jako zamówienie narodowe. Świadomość obowiązku narodowego tkwi zarówno w uczonym, jak i w robotnicy wiejskiej. Podajemy wyjątek z książeczki: „Mistrzowie gospodarstw rolnych". Są to biografie wybitnych robotników rolnych, którzy osiągnęli specjalne wyniki i niejednokrotnie przez swoją inicjatywę, rozsądek i poświęcenie stanęli obok uczonych w walce o władzę nad klimatem i żywą przyrodą. Mimo propagandowego charakteru dziełka, a nawet właśnie dlatego, należy podkreślić kult ducha inicjatywy, wyraźne przełamywanie, choć może nie na całej linii, „wschodu" t. j. bierności, na jaką często wskazywało wczorajsze piśmiennictwo.

t. ch.

Wyjątek ze wstępu.

...Niektóre rośliny ogrodowe znamy już od przeszło 4000 lat np. pszenicę, jęczmień, proso, kapustę, ogórki, migdały. Inne poznaliśmy znacznie później. Owies, groch, żyto, rzodkiew, wisznia liczą sobie około 2000 lat. Gryka pojawiła się jeszcze później, to samo agrest, malina, czarna porzeczka (smorodina), dynia, tykwa, pietruszka... Przejście od rośliny dzikiej do ogrodowej nastąpiło drogą naturalnego doboru. Główną rolę grał tu od niepamiętnych czasów człowiek, zrazu bezwiednie, potem już świadomie — zbierał w lesie co ładniejsze i smaczniejsze jagody i przynosił do swego koczowiska. Gdy rzucał pestki, nie zdawał sobie sprawy, iż powoduje wyrastanie w bezpośrednim sąsiedztwie tych przyjemnych roślin. O stosowaniu świadomego doboru wiemy z mitów oraz eposu bohaterskiego: Pieśń o Hajawacie, opowieści północno-amerykańskich szczepów indiańskich, Iliada i Odyseja...

Z rozdziału: **Przemieniacze natury. Kliment Arkadiewicz Timiriazew.**

Jeden z najwybitniejszych darwinistów. Stawia sobie za cel, jak się wyraża „pomóc rolnikowi, ażeby wyhodował dwa kłosy, gdzie dawniej rósł jeden".

W latach 1868 — 1871 zaznajamia się ze zdobyczami wielkich uczonych Zachodu (Daume, Claude Bernard, Kirchhoff). Pisze znakomitą rozprawę: „Charles Darwin i jego teoria". Wkrótce potem nawiązał kontakt osobisty z wielkim Brytyjczykiem. Przez całe życie bada ową przedziwną substancję, która stanowi o zielonej barwie roślin t. zw. chlorofil. W dziele swym „Życie roślin" tłumaczy niejasny dotąd niezmiernie skomplikowany proces przetwarzania się promieni słonecznych w pożywkę roślin, zwierząt i człowieka.

(Następują ogólnie znane od czasów Timiriazewa wiadomości o pochłanianiu dwutlenku węgla, o węglu, wydzielaniu tlenu, o krochmalu, roli słońca i t. d.)

Najbardziej złożone funkcje wszystkich istot na kuli ziemskiej — mówi Timiriazew — to nic innego jak zużywanie energii słonecznej chwytanej przez liście roślin. Ciała wszystkich istot są niejako utkane z promieni słonecznych. Więc wszystko, co żyje, to dzieci słońca.

Tak więc czysto praktyczne starania rolników około powiększenia urodzaju nabierają w świetle nauki ogólnego znaczenia dla kontynuacji życia na ziemi i dlatego ludzkość zachowuje we wdzięcznej pamięci naukowe zasługi Klimenta Arkadiewicza Timiriazewa. Urodził się 3 lipca 1843 roku. W młodości cierpiał niedostatek. Głęboko odczuwał radości i bóle rosyjskiego rolnictwa. Olśniewający wykładowca i świetny stylista z zapałem popularyzował nowe zdobycze nauki, czego nie robiono wtedy zbyt często.

*) Państwowe Wydawnictwo Literatury Rolniczej, Moskwa 1946.

Z rozdziału: **Wielki reformator przyrody — Iwan Włodzimierzowicz Miczurin.**

Ma za sobą długie i piękne życie. Przed 70 lat w odległym powiatowym mieście przystępuje do eksperymentów mających na celu wytworzenie nowych gatunków drzew. Zadanie niełatwe. Chce obrócić wszystkie części ziemi w sad. Sadownictwo stało wtedy w centralnej Rosji b. nisko. Dobrych gatunków jabłoni i grusz nie było. Właściciele większych sadów usiłowali sprowadzać zagraniczne, ale te nie wytrzymywały surowego klimatu.

Miczurin postanowił wyhodować drzewka wytrzymałe na zimno. Na przestrzeni pół wieku dokonuje olbrzymiego dzieła. Z początku bierze w Kozłowie w dzierżawę opuszczoną sadybę. Razem z żoną przekopuje zagony. Znikąd pomocy. Miczurin taszczy całymi kilometrami wiązki drzew na plecach. Początkowo, podobnie jak inni usiłuje przyzwyczaić do kozłowskiego klimatu gatunki zagraniczne. Widzi jednak bezowocność wysiłków: jedne po drugich usychają. Wtedy krzyżuje północne — wytrzymałe, z południowymi. Posiadając niezwyczajny dar wnikania w tajniki przyrody, zauważa, że młode mieszańce łatwo się poddają oddziaływaniu ogrodnika. Wykorzystuje to Iwan Włodzimierzowicz dla umocnienia w swych zielonych wychowankach cennych cnót i właściwości. Krzyżuje gatunki najbardziej odległe i utrwala zalety obojga rodziców: wytrzymałość na chłody, płodność, smak. Każdy nowowytworzony gatunek był wynikiem ogromnej i długoletniej pracy. Do Miczurina istniał pogląd, że skrzyżowanie dwóch zdecydowanie różnych gatunków nie może dać rezultatu. Iwan Włodzimierzowicz obserwując rozwój hybrydów, dochodzi do wniosku, że konieczne jest tu jeszcze wtórne skrzyżowanie. Zaszczepiwszy na gruszy nowy gatunek jabłoni otrzymał jabłka o kształcie przypominającym gruszki. Ten gatunek nazwał Renetą Bezgramotną. Dla uszlachetnienia hybrydu stosował też szczepienie szeregu innych gatunków w koronie drzewka. Wypracował całkiem nowy sposób krzyżowania odmiennych gatunków t. zw. krzyżowanie przedwstępne w celu otrzymania hybrydu-pośrednika. Tak np. dynia i tykwa nie krzyżują się. Krzyżuje więc Miczurin dwa rodzaje tykwy i dopiero nowo wytworzony gatunek kojarzy z dynią. Iwan Włodzimierzowicz Miczurin w niebywale ciężkich warunkach przez 60 lat walczył o władzę nad rośliną. Nie zwraca go z raz obranej drogi ani bieda, ani wzruszanie ramionami. Wyprowadza coraz to nowe gatunki. W swych niezliczonych doświadczeniach trzyma się stale jednej maksymy: „My nie możemy oczekiwać darów od przyrody — nasze zadanie zdobyć je". Południe przenosi na północ; stwarza dziesiątki nowych gatunków jabłoni, grusz, czereśni, winogron, morel — drzew, których nigdy nie było w środkowych połaciach Rosji Europejskiej. Mało płodną, lecz za to wytrzymałą na mrozy „Chinkę" krzyżuje *z południowym* gatunkiem Belfler żółta i otrzymuje znakomitą *jabłoń Belfler-Chinkę*. Do Miczurina nie spotykało się w rosyjskich sadach zimowej gruszy. Stwarza więc świetny gatunek t. zw. Bera Zimowa Miczurina. Czereśnię znano na północy tylko ze słyszenia. Iwan Włodzimierzowicz skrzyżował wiśnię z czereśnią i otrzymał niezmiernie wytrzymałą na zimno wiśnię „Cudo północy". To płodne drzewko posiadające zawsze piękny, soczysty owoc ocalało w czasie ostrych zim 1939—41 r. a przecież wtedy marzły najstarsze i najwytrzymalsze drzewa. Nowe gatunki winogron Miczurina sadzą nie tylko w Tambowszczyźnie lecz i w okręgu Kalinina. Po długich wysiłkach udało mu się wyhodować gatunek morel północnych. Drogą wielokrotnego krzyżowania wytwarza przedziwną roślinę Czarapadur — wiśnio-czeremcha (owoce wiśni — kiście czeremchy).

Krzyżując dziką jarzębinę z głogiem otrzymuje jarzębinę jadalną. Z amerykańskiej jerzyny wyprowadza t. zw. malinę Texas — bardzo płodna i soczysta.

Aż do wojny światowej pracuje znakomity uczony samotnie, bez poparcia. Mimo to odrzuca doskonałe finansowo propozycje Stanów Zjednoczonych.

Po rewolucji stworzono dlań doskonałe warunki pracy. W Kozłowie, przechrzczonym na jego cześć na Miczurińsk, powstaje całe miasteczko naukowe: laboratoria, seminaria, szkoła rolnicza, olbrzymi sad doświadczalny. Liczny personel naukowy (uczniowie) kontynuuje prace swego Wielkiego Nauczyciela. W r. 1939 Miczurińsk obchodzi miłą uroczystość — 60-lecie działalności naukowej Iwana Włodzimierzowicza. Otoczony uznaniem całej Rosji pracuje z niezmiernym wysiłkiem do ostatniej chwili życia. Umiera 7 lipca 1935 r. Pogrzeb odbył się na koszt państwa. Dzień pogrzebu był dniem ogólno-związkowej żałoby.

Kontynuator dzieła Darwina i Miczurina. Akademik Trofim Denisowicz Łysenko.

Walka o władzę nad przyrodą przechodzi teraz w ręce uczniów i następców Miczurina. Z ich grona wybija się Trofim Denisowicz Łysenko. Przedmiotem jego zainteresowania są płody rolne. Powszechną uwagę kół naukowych zwróciło na młodego uczonego wynalezienie t. zw. metody „jarowizacji". Dziś stosuje się ją bardzo często,

(c. d. na str. 3-ej)

Dr Mieczysław Kafel
i Amalia Zielewicz

50 lat pracy kobiety wiejskiej II*)

Na terenie Handzlówki działał również Związek Młodzieży Wiejskiej „Wici", który w powiecie łańcuckim i przeworskim i na terenie całego zreszią województwa lwowskiego był silną organizacją. Wielki wpływ wywierał tu Wiejski Uniwersytet Orkanowy w Gaci, który rok rocznie wysyłał nowycn wychowanków do pracy w okolicznych wsiach.

W Handzlówce do „Wici" należało 70 chłopców i 45 dziewcząt. Poza tym istniało t. zw. przedszkole wiciowe, do którego należała młodzież (po ukończeniu szkoły powszechnej) przygotowująca się do przyszłej pracy społecznej a w szczególności do wzięcia udziału w działalności ruchu ludowego. Chłopców w przedszkolu było 50, dziewcząt 20. Zebrania młodzieży należącej do „Wici" odbywają się raz w tygodniu. Dziewczęta tworzą własną grupę zwaną „Sekcją Koleżanek". Warto tu zwrócić uwagę na metody pracy wiciowych Sekcyj Koleżanek. Zebrania ich nie opierały się na wygłaszaniu odgórnych ex cathedra wygłaszanych odczytów, co ma miejsce w innych organizacjach. Główny nacisk kładzie się tu na dyskusję, na zbiorowe tworzywo myśli. Ten sposób pracy otrzymał już nawet w szeregach młodzieży „wiciowej" własną, rodzimą nazwę. Są to: dumania wiciowe. W wytworzeniu tego typu pracy organizacyjnej, odegrały wielką rolę właśnie kobiety.

Sekcje Koleżanek urządzają wspólne zebrania z kołami sąsiedzkimi, uczestniczą w zjazdach powiatowych i wojewódzkich. Na zebraniach wiciarki często zabierają głos. W czasie naszego pobytu w Handzlówce odbywał się właśnie Zjazd Delegatów. Brało w nim udział 98 mężczyzn i 17 kobiet[1]) Na zebraniu tym wystąpiły w dyskusji dwie kobiety. Przemawiały one z zamiarem odparcia zarzutu, który wysunął jeden z kolegów delegatów mówiąc o swojej wsi. Powiedział on:

„że koleżanka nic nie znaczy w życiu naszych kół wiciowych". Postaramy się przytoczyć treść tej obrony jakiej podjęła się jedna z Wiciarek.

„Słyszymy nieraz od kolegów, że koleżanka nic nie znaczy w życiu naszych kół „wiciowych". Nie wiem, czy we wszystkich kołach wiciowych tak mówią, ale słyszę to na naszym terenie, wprawdzie nie od wszystkich kolegów, jednak mówią to nieraz koledzy o dużej wartości organizacyjnej. Nie bronię tu koleżanek dlatego może, że sama jestem kobietą, nie. Mówię to z obserwacji i głębokiego przekonania, że koleżanka znaczy bardzo dużo w Kole Młodzieży. Naturalnie tylko koleżanka, która ma na uwadze ulepszenie życia w gromadzie. Naprzykład w naszym Kole Młodzieży, które powstało w 1933 r. najwięcej zrobiły koleżanki, choćby na pozór inaczej się wydawało. Członków w naszym kole jest mało: liczymy ich tylko 15 w tym 6 koleżanek. Mało jest u nas koleżanek wyrobionych, kolegów rozbudzonych społecznie jest więcej. Gdybyśmy pracę naszą w kole „popędzili" wszyscy razem, to koło nasze rozwinęłoby się w szybkim czasie, bylibyśmy głośni z naszą pracą na szeroką przestrzeń Małopolski. A teraz każdy może zarzucić nam, że nie chcemy pracować, bo praca wcale się nie rozwija, lecz jakby upadła. Powodem osłabienia naszego koła jest brak koleżanek o dobrej chęci. Niema ich teraz w naszym kole, musiały się porozchodzić, bo tak im w życiu wypadło. Wprawdzie niedużo ich odeszło bo tylko trzy, ale brak ich dotkliwie odczuwamy, bo były to pierwsze koleżanki do pracy. Zostali koledzy i reszta koleżanek, ale praca zakulała. W innych kołach również da się zauważyć to samo co i w naszym: niektóre z nich nawet całkiem upadły. Oczywiście niezawsze odchodzą z koła koleżanki wskutek konieczności życiowych jak np. wyprowadzenie się na inną wieś czy do miasta za pracą. Zdarza się, że ksiądz je z koła wyprowadzi i do bractwa różańcowego wciągnie. Takie koleżanki, które przechodzą z koła wiciowego do Akcji Katolickiej nie przedstawiają teraz wielkiej wartości, a jednak bez nich źle się dzieje z kołem.

A więc zauważmy jak ważną jest kobieta w Kole Młodzieży, a szczególnie ta czynna i świadoma swych celów „Wiciarka", która czuje i rozumie potrzebę tej pracy. Dotychczas tych świadomych i zapalonych do pracy jest mało w naszym związku, ale i tak one dużo ważą. Musimy przewidywać, że jak z naszego koła odeszły najdzielniejsze koleżanki tak mogą odejść i z innych kół, a wtedy praca może zakuleć jeśli na miejsce dawnych koleżanek nie wejdą nowe z równą energią i umiłowaniem pracy wiciowej. Dlatego naszą troską serdeczną powinno być, abyśmy pozyskali młodsze dziewczyny i z pośród nich wychowali przodowniczki w pracy wiciowej. Mówię to przeważnie do kolegów, bo dziś jeszcze zdarza się, że ludzie przepijają sporo pieniędzy zamiast dopomóc siostrom i córkom, wysłać je do Wiejskiego Uniwersytetu Orkanowego, żeby miały sposobność popracować nad sobą i przygotowywać się do spełnienia zadań życiowych w gromadzie wiejskiej i w rodzinie.

Kobieta jest niemniej ważnym czynnikiem w życiu i w organizacji, aniżeli mężczyzna. Można dużo zarzutów stawiać kobietom, ale trzeba na to się zgodzić, (jeśli się ma trzeźwy umysł), że bez udziału kobiet ani kroku nie zrobi się w żadnej dziedzinie.

Kobieta przez dziesiątki a nawet setki lat żyła w poniżeniu i poniewierce. Uważano ją za rzecz, sprzedawano, a i dziś jeszcze są kraje gdzie kobietę traktuje się jak niewolnicę. Mężczyzna zaś od lat ma prawo do kształcenia swego umysłu, swego patrzenia w świat.

Nie wysuwajcie więc koledzy gołosłownych zarzutów ale właśnie pomóżcie kobiecie czem prędzej wejść jak najgłębiej w robotę społeczną i polityczną a wtedy i na wsi i na świecie się zmieni".

Takich jak ta, która tak przemawia na zebraniach, która wie czego życie od niej wymaga i jakie ma zająć stanowisko wobec licznych kwestij życiowych, jest na wsi coraz więcej.

Podaliśmy przykład typowy dla ówczesnego środowiska wiejskiego.

7. INNE ORGANIZACJE

Prócz wyżej wymienionych, istniało kilka innych organizacji zarzeszających zarówno kobiety jak i mężczyzn, których początek datuje się jeszcze sprzed I-szej wojny światowej. Np. Kasa Stefczyka, która została założona w 1901 roku. Gospodarze tutejsi powiadają, iż „początkowo było nie mało trudności, gdyż ludzie nie mogli zrozumieć, że to dla ich dobra, że nawet najbiedniejszy może pożyczać na niski procent, przez co wyzysk zostanie całkowicie usunięty". Dawniej Kasa ta nosiła nazwę Reifeisena, później została przemianowana na Kasę Stefczyka. Zreorganizowana w 1924 roku ma w 1938 roku 500 członków w tym 50 procent kobiet.

Jeśli idzie o organizacje samopomocowe o charakterze spółdzielczym na terenie Handzlówki, to udział kobiet nie da się tu wyodrębnić, gdyż należą one do tych instytucyj wraz z całymi rodzinami. W wypadku tylko gdy kobieta niezamężna prowadzi gospodarstwo, lub gdy jest wdową, należy samodzielnie do organizacji.

Kółko Rolnicze oraz Sklep Kółka Rolniczego założone zostało w 1903 roku, w czasie pierwszej wojny światowej zostało zniszczone, działalność jego przerwana jak też i wielu innych organizacji. Nad sprawą tą ubolewa Franciszek Magryś w „Żywocie Chłopa - Działacza". Twierdzi on, że przed I. wojną światową pracowały w Handzlówce wszystkie te instytucje, które gmina mieć powinna. A więc Sklep Kółka Rolniczego, Kasa Reifeisena, Mleczarnia, Chór Włościański i Teatr Chłopski, Straż Pożarna, Kółko Rolnicze. Było wielu ludzi chętnych do pracy społecznej. Byli mówcy, działacze. W czasie wojny wszystko zniknęło. Był w Handzlówce nadzwyczaj zdolny organista, którego również wojna wyrwała. Znalazła się jednak dziewczyna, która należała do chóru, za własne oszczędności z krawieczyzny kupiła fortepian i zastąpiła organistę.

Z czasem zaczęło wszystko wracać do dawnego stanu. Po wojnie (mówimy stale o I-szej wojnie światowej) z powrotem zawiązano Kółko Rolnicze i założono sklep. Do Kółka rolniczego należało w 1938 roku — 35 kobiet.

Mleczarnia została założona w 1910 roku. Początkowo wywożono artykuły do sąsiedniej wsi Albigowej, później jednak mleczarnia handzlowska słynie coraz bardziej z jakości swych wyrobów; wyroby tej mleczarni rozpowszechniają się nawet w okolicznych powiatach. W roku 1939 spółdzielnia mleczarska liczy 340 członków w tym 120 kobiet. Zebrania zarządu do którego wchodzą 3 kobiety, odbywają się raz na miesiąc.

Przy spółdzielni mleczarskiej utworzone zostało Kółko Kontroli Obór, oraz Ubezpieczalnia Bydła, gdzie należy 80 osób. Ma ona na celu wskazywanie rolnikom w jaki sposób należy utrzymywać czystość w gospodarstwie. Poza tym mierzenie wydajności mleka, wynajdywanie i krzyżowanie ras, oraz zakładanie stajni. W ostatnich latach przedwojennych ilość członków wzrosła. Kto bowiem należy do spółdzielni mleczarskiej, obowiązany jest równocześnie wpisać się do Koła Kontroli Obór. Przymus ten był bardzo uzasadniony, gdyż dzięki uświadomieniu wszystkich o jednakowej kulturze hodowlanej, szybciej osiągnie się równy poziom wydajności mleka — możliwie jak największy.

Bardzo często organizowano dwudniowe kursy, na których bywali obecni zazwyczaj wszyscy członkowie. Kursy te prowadzą przeważnie instruktorzy, wygłaszając fachowe odczyty oraz pogadanki. Referaty są również wygłaszane przez własnych członków. I tak np. w ciągu 1938 i 1939 roku na takich kursach wieczornych jako referentki wystąpiły 5 razy miejscowe kobiety - działaczki.

W roku 1924 zorganizowano również Spółdzielczą Szkółkę Drzewek Owocowych, a z inicjatywy Ochotniczej Straży Pożarnej wybudowano łaźnię gromadzką, przy której miała znaleźć pomieszczenie pralnia mechaniczna. Byłoby to naprawdę wielkim dobrodziejstwem dla gospodyń wiejskich. Pozwoliłoby bowiem na duże ich odciążenie w pracy. Kobiety pracę swą wykonywałyby znacznie prędzej, równałoby się to jednak nie tylko zaoszczędzeniu czasu, ale sił i zdrowia.

To też, jak z protokułów różnych organizacyj miejscowych wynika, kobiety handzlowskie 11 razy podnosiły tę sprawę w swych uchwałach i rezolucjach, domagając się realizacji.



Kobieta wiejska przy pracy

Z organizacji założonych przed pierwszą wojną światową należy jeszcze wymienić Chór i Teatr włościański. Do chóru należało 40 osób w tym 18 dziewcząt, w teatrze brało udział 120 osób w tym 60 dziewcząt. Widzimy, że udział mężczyzn i kobiet w tej organizacji liczebnie mniej więcej jest równy. Tutaj należą chłopcy i dziewczęta z całej wsi bez względu na przekonania polityczne. Pieśni, których uczą się na próbach chóru odśpiewują w kościele w czasie nabożeństwa oraz na wieczorkach i akademiach urządzanych z okazji świąt narodowych. Teatr często urządza przedstawienia na wsi, a nie raz nawet wyjeżdża do sąsiednich miast. Dochody przeznaczane są na potrzeby organizacji np. zakup strojów itd. Drużyna Bartoszowa, która istniała w czasach przedwojennych 1913—1914 nie została wznowiona. Należało do niej 30 kobiet i 50 mężczyzn.

8. PO WOJNIE

Tak to w skromnym zarysie wyglądał przedwojenny udział kobiet w życiu organizacyjnym wsi Handzlówka. Mieszkanki tej wsi były niewątpliwie wzorem dla wielu innych ośrodków wiejskich. Dość wspomnieć, że jedna z nich wybrana została w roku 1938 prezeską zarządu wojewódzkiego związku Kół Gospodyń Wiejskich.

Dziś po blisko sześciu latach drugiej straszliwej wojny, która znowu zburzyła tak ciężko wypracowany dorobek wielu wsi, — Handzlówka po raz drugi w swej historii odbudowywać będzie swe pełne życie organizacyjne. Sytuacja jest o tyle lepsza, że i w czasie okupacji nie przestało tu tętnić podziemne życie społeczne. Należy się więc spodziewać, że Handzlówka będzie nadal świecić przykładem i dawać dowód tak mało u nas znanej prawdzie: że **kobieta wiejska jest prawie na równi z mężczyzną współczynnikiem rozwoju i postępu polskiej wsi.**

Podaliśmy przykład jednej wsi — Handzlówki, aby na nim wykazać jak historycznie rozwijały się prace i wysiłki kobiet wiejskich w dziedzinie społecznej. Na tle tego przykładu lepiej i jaśniej wyjdzie nam obraz prac społecznych kobiet wiejskich w różnych organizacjach całej Polski.

*) Patrz I część: art. „O was, kobiety", „Wieś" Nr 14—15.

[1]) Mały procent kobiet, należy tłumaczyć tym, że zwykle na delegatów zjazdu powiatowego wybierani są mężczyźni.



Wyczółkowski — W TĘSKNOCIE

Przyroda i mistrzowie

(c. d. ze str. 2-ej.)

lecz gdy w 1929 r. posiana na wiosnę na polu jego ojca ozimina wydała kłos jeszcze tego samego roku, zdumieli się chłopi okoliczni, a również osłupieli specjaliści-agronomowie. Na pierwszy rzut oka sposób całkiem prosty: Ziarno przeznaczone do wiosennego siewu moczy się i doprowadza do pęcznienia, potem się ochładza i trzyma przez określony czas pod niską temperaturą. Potrzebne to na to, aby kiełki nie przebiły przedwcześnie pokrywy.

Wynalezienie metody poprzedziły niezwykle staranne i drobiazgowe badania na stacji doświadczalnej w Handże (Asserbajdżan). W związku z jarowizacją wyprowadził Łyseńko t. zw. teorię jarowości rozwoju rośliny. Sama metoda ma niezwykle doniosłe znaczenie dla gospodarstw rolnych. Już w r. 1937 jarowizacja dała 10.000.000 centnarów dodatkowego ziarna. Obliczono, iż przy prawidłowej jerowizacji można otrzymać z hektara 2 — 3 centnary nadwyżki.

Rozpracowanie teorii jarowego rozwoju roślin dopomogło mu do wyprowadzenia szeregu nowych gatunków cennych dla rolnictwa zbóż.

Na odesskiej stacji doświadczalnej selekcji i genetyki wyhodował nowy szybkodojrzewający gatunek pszenicy odpornej na rdzę i śnieć.

Wynalazł również metodę ochrony bulwy kartofla od wyrodzenia się (na południu). Stosuje letnie sadzenie. Kontynuując badania Darwina i Miczurina daje nowe poglądy na kwestię dziedziczności organizmów. Śmiały nowator, każdy nowy sąd poprzedza pedantycznymi pracami eksperymentalnymi. Prowadzi je nie tylko w ciszy laboratorium, ale i na zwykłych gospodarkach.

Niezmiernie rozwinięty jest w nim pęd za nowym — jedna z najcenniejszych właściwości człowieka. Łyseńkę powołano na członka rzeczywistego Akademii Nauk Z. S. R. R., jest on również prezesem Ogólnozwiązkowej Akademii Nauk Rolniczych im. Lenina.

Z rodziału: **Zmiany w świecie roślinnym na ziemi.**

Przed kilku laty obiegła świat wiadomość, że akademik Mikołaj Wasyliewicz Cycyn wyhodował wieloletnią pszenicę drogą krzyżowania z różnymi gatunkami perzu. Perz był zawsze dotąd plagą egipską pól, teraz ten szkodnik od wieków niszczący rolę musi służyć do uszlachetnienia pszenicy.

Cóż to się stało?

Otóż, w ciągu tysiącleci pszenica wydelikatniała, a perz wprost przeciwnie, wyrobił w sobie żelazną wytrzymałość. Pszenica jest rośliną jednoroczną, perz — wieloletnią. A więc połączyć cenne właściwości tych tak bardzo różnych roślin!

I oto od dwóch lat szczęśliwie zimuje pod Moskwą pszenica Cycyna. Ten sam uczony z dużym zespołem pomocników naukowych pracuje usilnie nad wyhodowaniem drzewnych odpowiedników roślin trawiastych i odwrotnie (groch drzewny, wiśnia i śliwa — trawiaste).

Wciąż rozszerza się władza człowieka nad przyrodą. I. I. Marczenko wyhodował wieloletni słonecznik przez krzyżowanie bulwy ze słonecznikiem.

A. I. Dzierżawin krzyżując twardą pszenicę z wieloletnim żytem otrzymuje żytopszenice. Chleb z barwy i smaku nie wiele różni się od pszenicznego.

Ziarno daje więcej mąki niż pszenica „Ukraińska", przypiek też jest lepszy.

A. I. Molodczykow

Władysław Dunarowski

OFIAROWANIE

nowela

Rano. Niskie okno zakwitło już białym zygzakiem, a po czarnej ramie gramoli się powoli biały cień dnia.

Reśka otworzywszy oczy, powoli wdraża się w elementy widocznego świata. Podciągając niesforną pierzynę, myśli sobie, że przy niedzieli można by dłużej poleżeć w łóżku. Chwilę nadsłuchuje. Tak, matka już szeleści swoje Zdrowaśki. Czy ona w ogóle śpi choć godzinę w ciągu całej nocy? Bo kiedy się przebudzić, zawsze Zdrowaśki lecą z tamtego łóżka. Ciche, bezzębne Zdrowaśki.

Córka nie odzywa się, nie daje znaku o swym istnieniu. Powiekami odgradza świat od siebie. Ale upór białej niedzieli nie daje się pokonać. O, teraz spływa do izby złotawą smugą zorzy, wielobarwnym wieńcem zakwita na ścianie.

Reśka wyskakuje z łóżka, żegna się, narzuca coś na siebie i już jej nie ma w izdebce. Niemal równocześnie zadźwięczały drzwi od sieni i kuchni, zatrzeszczały schody na strych, a za chwilę konewka z wodą uderzyła o próg i chlusnęła mokrym pocałunkiem.

Matka przerwała Różańcowe westchnienie, dając upust myślom o córce. Coraz więcej niepokoi ją ta dziwna nerwowość Reśki. Bo czym wytłumaczyć choćby tę uwijaczkę od samego świtu? Służąca pewnie się wyleguje, a gospodyni chce chałupę wywrócić? Czy jej to nowała? W dodatku przy świętej niedzieli? Przecież oporządzić żywiznę, ugotować śniadanie dla trojga ludzi — to nie żadna sztuka. Do sumy jeszcze dużo czasu, nie tyle by się zrobiło. Ale jej nikt nie przegada. Albo się uwija z robotą i lata jak szalona, albo usiądzie i wtedy ciężko ją ruszyć z miejsca. Godzinami by siedziała bez ruchu i bez mowy. A zagadać ją wtedy — płacze.

Matka pociesza się, że to córce przejdzie. Nie ma jeszcze dwóch tygodni od śmierci dziecka, nie dziwota. Czas wszystko uleczy. Nie takie ciosy na ludzi spadały. Zdawało się, że tylko oszaleć, a przecież...

— Tajemnica piąta: ukoronowanie Najświętszej Panny w niebie.

I płyną Zdrowaśki radosnej części Różańcowej, przeplatane bolesnymi myślami. A no, tak. Wiadomo, że dziecka szkoda. Cztery lata czekali na niego... Reśka dosyć się nasłuchała od chłopa cierpkich słów z tego powodu. W pierwszych latach nic nie gadał jeszcze. Tylko na odpust do Starego Miasta poszedł, na ofiarę do Przemienienia Pańskiego dał — i czekał. Reśka robiła to samo na swoją rękę. W końcu postanowili pojechać do doktora. Wrócili z dobrym zapewnieniem, ale na tym się skończyło. Bo jak nic, tak nic. Wreszcie zaczął sobie Jentek pokpiwać z baby. Najpierw w chałupie, potem przed obcymi. Że taką babę jedynie do pługa zaprząc, albo do bron, bo do czego innego nie nadaje się. Napłakała się Reśka, naskarżyła przed sąsiadkami co niemiara. I co tylko kto poradził, wszystko robiła. Nawet do baby w Tatry posłała po kryjomu. Ale dziecka jak nie było, tak nie. Aż wreszcie w czwartym roku zlitował się Pan Jezus, że zawiązało się. Ile to było radości, gdy zmiarkowali. Ile nadziei. O, teraz by Jentek marnego słowa Reśce nie powiedział — ani w domu, ani, czego Boże broń, przed ludźmi. Latał koło niej, jakby była nie tą samą kobietą. Nie wiedział, jak uszanować ją najlepiej.

W sierpniu przyszło dziecko na świat. Jentka wtedy w domu nie było, bo go wzięli na ćwiczenia wojskowe. Natychmiast mu napisali, że ma syna, który chowa się zdrowo i czeka na powrót taty.

Jentek omal nie oszalał z radości. A więc syn. Chciał przyjechać bodaj na dzień, ale urlopy zostały wstrzymane. Zresztą jeszcze tylko trzy tygodnie ćwiczeń.

I w wielkim zdenerwowaniu przerzuca kartki kalendarzyka kieszonkowego, uśmiechając się do zakreślonych dni, a z niecierpliwością patrząc na białe i czyste obwódki czarnych cyfr. Z jakąż satysfakcją przekreśla dzień dzisiejszy, jako już nieważny.

Gorzej z tym, że owe dni, tak jasne w kalendarzu, zaciemniają się coraz ciemniejszymi wieściami ze świata. Jentek oczywiście nie myśli o tym. Bo co go obchodzi świat cały, awantury na niemieckiej granicy, gadania o wojnie, jeśli on ma syna. Wszelkie kąśliwe myśli odrzuca od siebie jak najdalej. Wojna? E, wiele razy już była mowa o tym, a jakoś skończyło się na niczym. Wiosną sam zaczynał wierzyć, że już... że lada dzień... Dzisiaj przeczucie mu nic nie mówi. Oddycha z ulgą.

Babka skończyła różaniec, klęka w jasności okna, by zmówić ofiarowanie. Na chwilę blask słoneczny przerwał jej nabożne myśli. Ładny dzień. Ciepły. W taki dzień mógłby Jentek wrócić. Bo dlaczego nie mógłby wrócić w taki właśnie dzień? W dzień słoneczny i śmiejący się szczęściem? To pewne, że na jego powrót pasowałby raczej grzmot, ulewa, szaruga...

Powinna mu coś w liście nadmienić, może o chorości, jakoś przygotować... Tymczasem Reśka się zarzekała, że nigdy tego nie zrobi. Nie napisze. Bo ona takiej głowy nie ma, żeby mogła podobny list uskładać. Niech raczej Jentek nic nie wie.

W ofiarowaniu nie zapomina babka o zmarłym wnuczku. Ale wnet budzi się w niej zastanowienie: przecież taki niewinny aniołek żadnego ofiarowania nie potrzebuje. Rozumie się, że nie. Aniołek. A co się nacierpiało biedactwo przed śmiercią. Jak się wyginało. Boże, Boże.

Stara kobieta zapomina o ofiarowaniu, o blaskach słonecznej niedzieli, i zalewa się łzami. Właśnie stanął jej przed oczyma ten okropny obraz i nijak nie chce zejść. Widzi małe dziecko, poskręcane od bólu, zachrypnięte od płaczu. Gdzie szukać ratunku, kiedy we wsi nie ma doktora, a do miasta daleko. Tylko dwie kobiety latają po izbie, radzą co mogą, smarują i na rękach bez przerwy huśtają. Już ręce im opadają od zmęczenia, ale nie przestają. Zdaje im się, że przy takim huśtaniu ulży się dziecku w bólach. O, dałby Pan Jezus. Przecież już słuchać nie można tego płaczu. Cały dzień i całą noc tak płacze. Pewnie w nim zasuszyło. Na mszę dali, ale i to nic nie pomogło. W końcu zrobiło się prawie czarne i umarło. Potem ktoś powiedział, że dziecku wnętrzności się poskręcały. Ale, bo to prawda? Miało umrzeć i umarło. Sam P. Jezus tak chciał, trudno się sprzeciwiać. Wieczne odpoczywanie... E, co ja mówię? Przecież to aniołek bez grzechu. Chwała Ojcu i Synowi...

Ktoś nagle strzelił drzwiami. Wzdrygła się. Zimno ją obeszło od stóp do głowy. Za każdym trzaśnięciem drzwiami dzieje się to samo. Zdaje się jej, że to Jentek wraca. Więc dygoce za siebie i za Reśkę. Jakby one były winowajcami tego nieszczęścia. Jakby przez nie poszło dziecko na tamten świat. A przecież życie dałaby jedna i druga, gdyby mogły tej małej okruszynie tchnienie przywrócić.

Wołają do śniadania. Babce nawet myśleć się nie chce o jedzeniu. Wszystko w gardle stoi. Jednak przed córką musi udawać. W przeciwnym razie jedna i druga zamorzyłyby się głodem. Babka stara, żadne zło jej nie dziwne, ale na Reśkę trzeba uważać, żeby nie zaszła w głowę. Tak się jakoś dziwnie zachowuje, tak raptownie rwie się do roboty — czy trzeba, czy nie trzeba...

Po śniadaniu obie zbierają się na sumę. Nowy proboszcz nastał, obie ciekawe na niego. Co on też opowie?

Przy kościele pogwarki jak zwykle. Ale dziś większe podniecenie: raz — że nowy ksiądz, drugie — to z tą wojną. Będzie czy nie będzie? Przez radio straszne krzyki. Widać, że coś gorąco. W takim razie na co rząd czeka? Dlaczego nie powołuje wszystkich chłopów? Dlaczego tyle chłopstwa jeszcze we wsi się plącze, zamiast być tam, gdzie trzeba: na granicy.

Na rozpalone myśli spada nagle szczebiotliwy dźwięk sygnaturki. Myśli te posłuszne srebrzystym głosom, lecącym z wysoka, nastawiają się na tory spraw pozaziemskich, bożych.

Pierwsza zmiana — kazanie w kościele, a nie na dziedzińcu, gdzie latem zwykle bywało. Nowy proboszcz rozpoczął od przedłożenia parafianom swych zamierzeń na najbliższą przyszłość. A więc najpilniejsza sprawa — to nowy dach na stajni plebańskiej, druga — to rozszerzenie kościoła. Jest jeszcze trzecia rzecz, o której powie później. Bo najpierw trzeba omówić dwie pierwsze, niecierpiące zwłoki. Dziwić się tylko należy, że poprzednik tak zlekceważył te sprawy.

Chłopi kiwają głowami. Dobrze mówić, ale skąd brać pieniądze? Wieś mała, biedna, nieprzystępna dla wszelkich zysków materialnych czy duchowych, zapomniana przez tych tam u góry, w rządzie, zdana na własną tylko zaradność — czy taka wieś może się szarpać na coś większego? Dach na stajni połatać — jakoś by się dało. Ale kościół poszerzać? Po co? Czy ten za ciasny? Nikt o tym nie gadał. Nawet nie pasowałoby przylepiać przybudówki do starego kościoła. Ten, choć staroświecki, ma coś w sobie, co chwyta za serce. Na nim dach poprawić, zeszło by się najprędzej. Ale dobudówki?

Nie przejmują się zbytnio. Gadać można różności. Zresztą, Bóg raczy wiedzieć, co dzień jutrzejszy przyniesie. Teraz ciekawość ich zbiera na to trzecie. O tym tylko myślą. Wreszcie...

— ...Po trzecie — pragnę zbudować...

— Ranyściewy, same budowacki. Majstrem mu być, nie księdzem.

Wymowna przerwa.

— ...Właściwy kościół w waszych sercach, waszych myślach, waszych pragnieniach. Po to do was przybyłem.

Odetchnęli z ulgą. Jak ino tyle, da się ścierpieć. Na to pieniędzy nie trzeba. Słuchają więc uważnie i wzdychają w tych miejscach, gdzie należy.

Długo i wzniośle rozprawia ksiądz o kościele serca, jego fundamentach i filarach, jego przymiotach. Wreszcie dochodzi do głównego sądu, że kto taką świątynię chce Bogu zbudować, w pierwszym rzędzie musi podczas nabożeństw stać w kościele, a nie na polu. I nie na schodach, nie w progu, nie pod lipą, nie przy parkanie, ale wewnątrz domu bożego. Kto postępuje inaczej, ten znieważa kościół i grzeszy. Niech o tym wie i pamięta.

Reśkę ktoś trąca w bok. Nie ogląda się. Wie, że przy niej stoi matka. Obie na schodach, nawet nie na świętym progu. Ale patrzy śmiało przed siebie i udaje, że słowa potępienia jej tyczyć się nie mogą.

Matka natomiast spuszcza głowę, kuli się w ramionach. Boi się cudzego spojrzenia. Bo ona zamiast dawać młodszym przykład... zamiast... ech, Boże przepuść.

I zaczyna się srodze dziwować, że tak dała się podejść diabłu. A to ci sprytna jucha. Jak to potrafi wmówić w człeka grzesznego, że wewnątrz kościoła jest latem dusznota wielka, co mogłoby słabszego zamroczyć; że przecież raz czy dwa zasłabła i musieli ją wyprowadzić, że próg to także kościół, a sprzed progu Bóg również usłyszy. Że tu najspokojniej zmówi pacierz, bo ją wiaterek czasem obleci, więc i ściskania pod piersiami uniknie, a także walenia w głowie i czarnych kół w oczach. To ci diablisko. Tak starego człowieka zbałamucić. Tak opętać. Do kościoła idzie człek po grzech. Chryste Panie.

Nie może się babina uspokoić. Już do końca sumy tylko o tym myśli. Pacierza nie zmówiła żadnego, pieśni nie zaśpiewała. Choćby ją kto zabił, nie wie, co śpiewali. Dziwi się, że już koniec. Widać, że ten nowy ksiądz trochę za nagły, bo tak szybko się uwinął. Ludzie już wychodzą, a ona jednego pacierza nie zmówiła. Nowy grzech.

— Co się ze mną dzieje? Na stare lata... Daj Boże doczekać pierwszego piątku.

Postanawia w najbliższy pierwszy piątek iść na spowiedź. Żeby tylko doczekała. Czy jednak potrafi sobie przypomnieć, ile razy stała w progu a ile razy za progiem? Taki grzech. Bo na to wychodzi, jakby w te niedziele w ogóle nie była w kościele. Jakże nie ma być wojny? Bez kary bożej się nie obejdzie. Nie wódź nas na pokuszenie, ale nas zbaw od złego. A to ci czarcie nasienie. Tyle przebiegłości, że nawet starego człowieka potrafi zbałamucić. Boże przepuść.

Po sumie zapowiedział ksiądz zebranie kobiet z Akcji Katolickiej. Reśkę wzięła ciekawość na nowego patrona, więc szepła matce do ucha, żeby przypilnowała służącą, i żeby same oporządziły bydło w południe, bo ona pójdzie na zebranie.

Matka tylko kiwła głową. Sama klęczała w kruchcie, nikt jej nie przeszkadzał w biciu się w piersi. Uklękła tuż pod krzyżem, aby ten czarci pomiot nie odważył się do niej zbliżyć. Czarne od pocałunków stopy niemal dotykają jej głowy. A zdala robi to wrażenie, jakby zbolały Chrystus, przez miejscowego artystę w kamieniu wykuty, oderwał się od krzyża i stanął na głowie skurczonej przy ziemi staruszki.

W salce szkolnej wielkie podniecenie. Nowego księdza patrona należy powitać uroczyście. Tereska jest tak przejęta, że o bożym świecie zapomina. Jej zdenerwowanie udziela się także innym. Zebranie mogłoby się już zacząć, ale czekają na księdza. Ktoś woła przez okno, że już idzie. Za chwilę inny głos, że jeszcze nie. Dziewczynka z bukietem do deklamacji oblizuje sobie wargi i głupieje z przerażenia. Co chwila przylatuje do dziecka jedna z matek, by je pouczyć, jak ma stanąć, gdy ksiądz wejdzie, gdzie należy patrzeć przy mówieniu wiersza, w której ręce należy trzymać kwiaty, jak się pokłonić. Najważniejsze — żeby co nie zmyliła.

— Ino się nie zająknij, pamiętaj se.

— Nolepi patrz na powałę, to ci się nie zmyli.

— Abo na ten obraz w kącie...

— Już idzie. Ino się nie zmyl, pamiętaj se. Bym cię tak potem zeprała...

Dziecko baranieje do gruntu. Co gorsza, że nie wie, co ważniejsze: sufit czy obraz w kącie. Z wyuczonego wierszyka prawie nic nie pamięta. Bezradnym wzrokiem szuka jakiejś deski ratunku. Ale oprócz kupy ludzi nic więcej nie widzi.

Reśka siedzi obok prezeski, która musi wygłosić powitanie. Z tego powodu denerwują się obie. Bo niech by co źle poszło, zaraz gadania we wsi co niemiara. Ale jakoś przeszło to najcięższe. Teraz słuchają referatu. Nie byle jaki referat. Przysłany został z Okręgu. O Rzymie. Warto posłuchać. Przecież w Rzymie siedzi Ojciec Święty. Plesina czyta wyraźnie, dobrze, może nawet zbyt dobrze, gdyż pędzi, nie wiele sobie robiąc z przeróżnych kropek, przecinków. Widać, że chce się pochwalić czytaniem przed księdzem.



rys. A. Strumiłło

...bardzo dużo kościołów ulic tak szerokich, że minie się sześć samochodów...

Reśka kiwa głową z uznaniem. Sześć samochodów, oho. Drogą przez tutejszą wieś jeden nie przejedzie, nie wszędzie miną się dwie fury. A tam aż sześć samochodów. Kiej to u nas?

...człowiek czuje się jak w niebie.

Dlaczego człowiek tak się czuje, referat nie wspominał. Czy dla tych sześciu samochodów, czy dla wielkiej masy kościołów? Reśka nie docieka tego. Wystarczy jej samo zapewnienie. Wzdycha. Szkoda, że nikt się tam nie wybiera na odpust. Jeżdżą ludziska tu i tam, ale o Rzymie nie słyszała. Ponoć to daleko i do tego obcy kraj. Dziwne, że ojcu świętemu chce się mieszkać w obcym kraju. Może by księdza o to zapytać? Lecz żadna się nie odważyła. Wolą udawać stateczne. Bo co by ksiądz o nich pomyślał?

Teraz mówi dziedziczka, jak należy się bronić na wojnie przed gazami. Jak odróżnić samoloty bombowe od innych.

Kobietom nie bardzo chce się słuchać. Bo co babie gadać o wojnie, jeśli nigdy przy

A. F. Kirło-Nowaczyk

ORACZ

Twoje nogi w zdartych buciarach
ślad zaoranym niosą zagonom,
utyka w pługu szkapina stara,
lemiesz na ucztę podzwania wronom.

Drży za pazuchą glon chleba suchy —
osełka masła poszła do miasta —
pachnie ci miasto tabacznym niuchem,
a babie chusta marzy się krasna.

Trud swój odmierzasz na końskim zadzie
pachnącym wiosną wiśniową biczem —
równo się skiba za skibą kładzie,
bruzda buciarom kroki odlicza.

wojsku nie była. Ale wyszczekana jest. Jakby z książki czytała.

Reśka znów popada w otępienie. Przed oczyma widzi długie sznury żołnierzy. Jentek między nimi. Biedny Jentek. Lada dzień go puszczą, przyjedzie. I co ona zrobi, gdy Jentek stanie we drzwiach cały rozradowany, śmiejący? Ni to się witać, ni uciekać? Tak czy tak, Jentek zaraz pozna, że coś zaszło. Tylko jak mu to powiedzieć? Jak?

Baby ściurają Reśkę żeby nie płakała i nie robiła ze siebie widowiska. Przecież ksiądz teraz mówi. Czy nie słyszy?

Reśka istotnie nie słyszała. Skuliła się za drugą kobietę, nasunęła chustkę na twarz i zapadła we własne myśli, oraz własne cierpienie. Cóż ją teraz mogą obchodzić cudze sprawy, cudze gadania, choćby najładniejsze, choćby nawet o Rzymie. Tym się dziecka nie wskrzesi. A dlaczego nigdy tutaj nikt nie mówił, jak się ratuje malutkie dzieciątko, gdy się rzuca od bólu i sinieje? Jeżeli nie ma tyle doktorów, niech by jeden co jakiś czas przyjechał i opowiedział co mają robić w takich wypadkach młode matki. I wiele innych rzeczy mógłby opowiedzieć, za które ludzie by go błogosławili.

Wracając z zebrania, spotkała nauczycielkę. Ta już o wszystkim wiedziała. Z krzykiem wpadła na Reśkę, dlaczego od dziecka nie posłali natychmiast do lekarza? Dlaczego nie przyszli do niej po rumianek? Bo dziecku niczego więcej nie było trzeba, tylko rumianku. A tak — skręt kiszek. Boże. Tylko rumianku. Gdyby wiedziała, przyniosłaby sama.

Reśka się tłumaczy. Jakże posyłać do szkoły w takiej sprawie? Pani jeszcze taka młoda, dziecka nie miała, skądże by w takich sprawach mogła być obeznana? Żeby się to kto spodziewał.

W tym nieszczęściu człowiek do cna głowę stracił.

Nauczycielka patrzy smutnie przed siebie. Patrzy daleko, na całą wieś — i myśli: ile zła i cierpienia ukróci moja praca na tutejszym terenie? I ogląda się po pustaciach, jakby szukała kogoś do pomocy.

Reśka idzie do domu z podciętymi nogami. Z trudem je wlecze. Uciszona falą bolesnych myśli wzburzyła się na nowo. Rumianek. Takie głupstwo! Dlaczego o tym nie wiedziała? Dlaczego? O Rzymie plotą koszałki opałki zamiast o rumianku. O gazach trujących: Co gaz może jej zrobić? Niech truje tych wszystkich, którzy wieś trzymają w nieświadomości i zacofaniu, niech ich pali. Gazami jeszcze nikt nie ciskał, a dziecko umarło — bo rumianku nie było. Nie było? W pudle na strych suszy się cały wianuszek. Nie co innego, tylko rumianek.

Przed oczyma tańczy jej teraz ów wianuszek, zasłania świat, że nijak iść nie może. Jak to dobrze, że do domu już tylko parę kroków.

Matka próbuje dowiedzieć się czegoś o zebraniu, nowym księdzu, ale Reśka zaczyna najniespodziewaniej o rumianku. Matka, jako w tym doświadczona, powinna wiedzieć, co w podobnych wypadkach jest pomocne. Tyle dzieci urodziła...

— Co ci do głowy wpadło? I czego chcesz ode mnie?

— A tego, że cuda opowiadacie, jak jest w niebie, jak w piekle, a najprostszych spraw ziemskich nie znacie. Wasze niebo mam gdzieś, piekło tak samo. Tu na ziemi jest jedno i drugie, i tylko od ludzi zależy...

— Ino nie bluźnij. Na Boga cię proszę nie bluźnij i nie ściągaj jeszcze większego nieszczęścia na dom. Pohamuj się i nie przybieraj sobie tyle do głowy. Zgłupiejesz w końcu. Ofiarowałabyś wszystko Bogu—i to by ci ulżyło. Tak się miało stać, tak się stało. Woli boskiej człek się nie nasprzeciwia. Jak ma wyzdrowieć, od byle czego wyzdrowieje. A jak mu pisane tak, to — tak. Szkoda się szarpać.

— Ale Jentek...

— Co Jentek? Niechże idzie ze skargą do Pana Boga, jeśli taki zakośniały w swym prawie. Niech sobie idzie. Chyba nie będzie taki... Bo czy to ostatnie? Jeśli się tak szczęśliwie zaczęło... No, niech ino wróci. Rumianek... Dobrze wiedzieć. Na drugi raz będzie się pamiętało. Trzeba więcej nazbierać, nasuszyć...

Koniec sierpnia. Wieś płowieje w resztkach słonecznego lata. Dogorywa soczysta zieleń pod nawałnicą rdzawych plam. Dni jeszcze gorące, prawie upalne.

Ale do robót jesiennych ludzie się nie kwapią. Nie cieszy ich nadzwyczajny urodzaj tegoroczny. Mobilizacja ogłoszona. Czyli — że wojna. Czyli — że nagromadzonego daru bożego nie będzie miał kto jeść. Starzy wykładają swoje doświadczenia, że przed każdą wojną bywa taki urodzaj. Gdy do stodół i przybudówek nie można pomieścić plonów, marny znak. Wojna.

— Pamiętacie rok czternasty?

— Rychtyk to samo.

Reśka jedna we wsi nie poddaje się przygnębiającemu nastrojowi. Teraz niemal pewna, że Jentek wnet nie wróci. Nowe roczniki wzywają, jakże by tamtych mieli puszczać... Jasiek od stryja pójdzie jutro. Wpadła tam, gdy się dowiedziała, wpadła ze śmiechem w sobie, lecz wnet się zorientowała, jaka z niej jeszcze nierozsądna kobieta. Właśnie Jasiek wezwał chłopów podstarniejszych i robił testament. Przecież wojna to nie żarty. A Niemcy całą siłą uderzyli na Polskę...

Wróciła do domu całkiem rozbita, roztrzęsiona nowinami i własnymi myślami. Nie wiadomo, co byłoby lepsze: rychły powrót Jentka, czy...

Pierwsze dni września wloką się powoli. Co jakiś czas niebo czernieje samolotami, a powietrze wypełnia się dławiącym harkotem bombowców. Ludziska wylatują z chałup i przysłuchują się detonacjom.

— Dosyć blisko rąbnęli...

— Nic — ino Mościce.

— Wszystko wskazuje na to, jakby się świat miał zawalić.

— Któż wie, czy się nie zawali? Bo jak się ludzie do czego uwezmą...

— Żeby ci ludzie uwzięli się choć raz do czegoś dobrego. Żeby tak urządzili świat, aby wreszcie człowiek mógł z całym spokojem i lekkością serca powiedzieć: dobrze się żyje na tym świecie. Nie trza lepiej.

— Toć by się człek tu rozleniwił, zgnuśniał, wreszcie zapomniałby zupełnie o tym lepszym życiu w wieczności, wyzbyłby się pragnień niebieskich.

— E, w kłopotach się żyje, ciągłych wojnach, biedzie, a mimo to ludziska pazurami trzymają się tego życia, nie innego.

Reśka żyje w odrętwieniu. Czasem sama nie wie, co się z nią dzieje. Nieraz dzień minie, a ona tak to przeżywa, jakby tego dnia w ogóle nie było. Co więcej — jakby jej samej nie było. Gdy się już nieco uspokoiło, poszła do miasteczka. Może się czegoś dowie od ludzi, może z gazety... Bo we wsi już cicho i głucho. Strzałów nie słychać, samoloty jeżdżą rzadko. Jakby po skończonej wojnie. Co znaczy ta głuchota? Przecież to bardziej denerwuje, niż strzały i detonacje. W mieście też spokój. Sklepy otwarte, urzędy... Tyle różnicy, że częściej tu się widzi Niemców i te ich napisy po słupach, ścianach. No, i ta ich chorągiew na ratuszu.

Na widok obrzydliwej płachty Reśka instynktownie odwraca się i spluwa na ziemię. Szybko mija ratusz, kupuje gazetę i zawraca ku wsi. Stwierdziła tylko, że na wsi nie tak czuć Niemcami jak tu. Same swoje twarze, życie idzie dawnym torem.

Na najbliższej miedzy usiadła i zabrała się do gazety. Co też z tą wojną? Może będzie jaka wzmianka o jej chłopie? Lecz to, co wyczytała, podcięło jej nogi zupełnie. Bo rzekomo już jest jakby po wojnie. Bo tak zostanie już na zawsze. Bo w Europie zapanuje nowy porządek i ład. Bo szalony, kto myśli inaczej.

Reśka nie chciała oszaleć, to jednak z gazetą pogodzić się nie mogła. Tak zostanie na zawsze? Z tą chorągwią na ratuszu? Z tymi tablicami? I kto uwierzy w podobne bazgroty? A potem świdrująca myśl: jeżeli wojna na ukończeniu, to Jentek tak czy tak powinien wnet wrócić. To pewnego dnia stanie na progu, że nawet się nie spodzieje...

Poderwała się z ziemi szybko, jakby jaki robak zmusił ją do tego. Nie odwraca się. Bo po co? Tam już nie ma jej dawnego miasteczka. Wnet znalazła się w gęstym lesie, który ją oddzielił zdecydowanie od świata złych spojrzeń. Poczuła się swojsko, zaczęła wracać do równowagi. Z miasta, oprócz niesmaku i tej marnej gazeciny, nie niosła żadnych nowin. Nie było się kogo zapytać.

W parę miesięcy później otrzymała wreszcie kartkę od Jentka. Pisał, że jest zdrów, w niewoli. Odetchnęła z ulgą. Potem stała się głośna, niemal krzykliwa.

Korci ją trochę, że matka jest spokojna, jakby ta wiadomość nie zrobiła na niej większego wrażenia.

— Zawdy ci mówiłam, że żyje... Nie śnił mi się nigdy jak umarły. Nie wymawiając Bogu, suszyłam przez dziewięć piątków na jego intencję.

Oczywiście w pierwszym dniu nie było jeszcze mowy o odpisie. Reśka ma dosyć zajęcia z obnoszeniem nowiny po sąsiadach. Wszak już niektórzy kiwali głowami, zresztą nie bez powodu. Koledzy Jentka, którym udało się wrócić z wojennej wyprawy, przebąkiwali coś, że padł pod Tomaszowem, według innych — na granicy węgierskiej. Gdy jednak pytała ich wprost, wywijali się półsłówkami. To ją jeszcze więcej denerwowało. Teraz wie na czym stoi. Wie, że Jentek żyje. Wie również i to, że rychło do domu nie wróci.

Po paru dniach zaczęła ją matka zapędzać do pisania listu.

— Co ty se myślisz? On ledwie doczekuje jakiego słowa, a ty się ociągasz. Siądźże, weź papier i pisz.

— Tak wam się widzi, że to letko..

— Przecieś liter nie zapomniała?

— Wolałabym zapomnieć.

— O to ci chodzi...

— O to.

I długo radziły obie kobiety, jak ten list poskładać, żeby najważniejszą rzecz ominąć. Bo przecież wiedzą, że życie w niewoli jest ciężkie do przetrzymania. Gdyby się prawdy dowiedział, mógłby w głowę zajść, albo jakie głupstwo popełnić. Dopóki jest tam, potrzeba mu pokrzepienia. To też szereg listów był mniej więcej tej treści: Kochany mężu, w pierwszych słowach donoszę ci, że w domu, stajni i u sąsiadów jesteśmy wszyscy zdrowi, czego i tobie życzę. Oraz zapytuję o twoje powodzenie...

Nie wiele więcej można było napisać na wyznaczonych linijkach. Ilość słów była ograniczona.

Władysław Dunarowski

W. K.

NAD NYSĄ

W południową stronę patrząc rozsiadło się dość rozległe miasto Nysa na tle błękitnych zawsze Gór Olbrzymich, nad rzeką Nysą, ujętą w kamienne łożysko. Większa część miasta legła w gruzach, lecz to, co ocalało, wskazuje, że musiało być i ładne i zasobne.

Na wywieszkach sklepowych, można tam znaleźć bardzo wiele nazwisk o brzmieniu polskim, pokłóconymi imionami Hansów i Rudolphów. Piszący te słowa nie zwrócił początkowo uwagi, że jest w posiadaniu starannie wykonanego wieszaka do ubrania, na którym wytłoczono: („Herren Knabenbekleidung „Platzek und Kornetzki, Neisse, Zollstr. 17"). Ale idźmy dalej po tropach Smętka — na wieś. Tutaj któregoś grudniowego dnia, gdy zima nie zdążyła jeszcze okryć śniegiem ziemi, wdałem się w rozmowę z jakimś człowiekiem. Był „tutejszy", jak wielu było „tutejszych" za Bugiem. Mówił piękną śląską polszczyzną, jędrną i nie skażoną germanizmami. Szkół polskich, rozumie się, nie znali, ale mowa ta siłą swą trwała nienaruszona przez wieki, w całej swej piękności — i oryginalności. Był przed wojną „stodolnym" (karbowym) w jednym z majątków „w tej stronie za tem przykopcem" (rowem, wąwozem). Pan był niemiec okrutnie dobry, bogaty, a jego dzieci były „za jedno z jego dziećmi". Pan jego zawsze mówił: „mowa wasza chleba wam nie da i mowa wasza chleb wam zatraci". I wraz z chlebem dobry niemiec dawał „Zeitungi", feldfebel edukację, a wtłoczył pod słowiańską czaszkę i ugruntował niemiecki światopogląd pedantyczny nauczyciel szkoły wiejskiej, o którym swego czasu Bismark wyraził się, że nie on kanclerz, a nauczyciel wygrał wojnę francusko-pruską w 1871 roku. Więc nic dziwnego, że przygodny znajomy po dłuższej rozmowie na tematy, co cieszy i boli rzecz tak zakończył. Ziemia ta to serce Europy. Gdy serce bić przestanie, Europa zamrze. Prysnął czar mowy starożytnej śląskiej, powiało duchem pruskim i stanął między nami głęboki przekop. Nil desperandum. Nie rozejrzał się jeszcze biedak obłąkany. Skończył się zgiełk i zamęt wojenny. Feldfebel i nauczyciel pruski ustąpili, a miejsce ich zajął cierpliwy Polak. Dziś fabryki dymią, a czerwone Farmalle i ciężkie Fordsany ciągną wieloskibowe pługi. Nie chodzi w tej chwili o statystykę, ale liczba czterech milionów Polaków, osiadłych w ciągu krótkiego czasu na Ziemiach Odzyskanych ma swoją wymowę. W powiecie Nyskim są ludzie z różnych dzielnic. Repatrianci zza Buga, dzielni poznańczycy, skrupulatni Małopolanie, obrotni Warszawianie — przemyślne Mazury. Praca wre. Czy w imponujących rozmiarami fabrykach, czy w skromnych warsztatach rzemieślniczych, czy wreszcie na roli, wszędzie rozmach twórczej pracy. Więc płonne są obawy, że „serce bić przestaje". Bije tak, jak bić powinno: z razu osłabione po przejściach strasznej wojny, stopniowo odzyskuje co raz lepsze tętno.

Musi na tę ziemię przyjść w pierwszej kolejności nowy nauczyciel polski, nie typu majowego, wysyłający pocztówki na Maderę, lecz zdolny podjąć walkę bezinteresownie, walkę uporczywą o nowego Ślązaka dla Polski. O nauczycielu mówi się, że pracuje, że jest z samozaparciem się w pracy, ale pamiętać należy, że komplementami, wypisywanymi po gazetach nie nakarmi się go i butów mu się nie podzeluje. Jeżeli nastąpiła jakaś poprawa w uposażeniu nauczycielstwa, to przestawać na tym nie można, a należy pilnie mieć na oku dalszą poprawę. W tej dziedzinie należy nam walczyć bronią wroga: przez dobrze postawioną szkołę i przez zrozumienie jej konieczności przez ogół. Niestety nad Nysą nie wszędzie jeszcze jest zrozumienie konieczności szkoły.

Jest wielu „pionierów", którzy to rozumieją swoiście. Posiedli oni tutaj i domy i grunta i bardzo sobie chwalą życie na Ziemiach Odzyskanych. Szkoda tylko, że wielu z nich jadąc w te strony nie zabrało z sobą tak tu potrzebnego „uspołecznienia i dobrej woli w zagospodarowaniu tych ziem. A oto przykład. Nad szosą stoi ładnie zbudowana szkoła z otaczającym ją ogródkiem. W ścianie budynku ślad wojny — wyrwa po pocisku, a przez powybijane w oknach szyby widać szkolne ławki. Jak daje sobie Pan tu radę? zapytuję nauczyciela. Bez pomocy sam nie mogę wiele zrobić. Czy jestem w stanie oszklić tyle okien i zamurować wyrwę w murze? Spotykam tu dziwną obojętność rodziców dzieci na potrzeby szkoły. Jeszcze ciągle nie wygasa epidemia szabru. Czy da Pan wiarę, że ukradziono szkole płot? Pozostały po nim tylko słupy? Żegnam swojego rozmówcę. Tak przykro o tym pisać...

Jestem na wsi N. Zachodzę do gospodarza, na stole leży czarny filcowy kapelusik z (kostką) — nakrycie głowy górala. Gospodarz, dawny gazda, z pod Starego Sącza objął tutaj gospodarstwo. Budynki ma murowane przestarzałego typu. Z kuchni drzwi otwarte do obory, inne wskazują mi izbę mieszkalną. Tutaj w ciepłej mgle parowanych ziemniaków, gdzie oziębiona para spływa ze ścian, zastaję troje dzieci. Jedno w kołysce, chłopczyk i dziewczynka w wieku szkolnym. Dlaczego dzieci nie w szkole? zapytuję gospodarza. W szkole, odpowiada, jest zimno, a do szkoły półtora kilometra. Mimo kłębów pary od podłogi ciągnie przejmujący mróz. Dlaczego tak tu zimno? Dom stoi w najniższym punkcie wsi. Wysoki poziom wody zaskórnej. Pod podłogą, w murowanych piwnicach pełno wody. Obecnie gruby lód. Gospodarz w zawstydzeniu uśmiecha się, dzieci zziębnięte baraszkują, a tam tymczasem na pierwszym i pół kilometrze inne przegryzają się przez naukę czytania i pisania i zaprawiają się do rozległych krain wiedzy. Ale ojciec tego nie rozumie. Tutaj we wsi do niedawna był sołtysem; wiele i jakże często musiał rozklejać po ścianach odezwy, plakaty, rozporządzenia... Niech inni czytają. Jego tej sztuki nie nauczono. Żałuje tego, bo analfabetą sołtys być nie może. W innym domu tej samej wsi, z dziećmi to samo. Do szkoły nie chodzą. W szkole na 35 dzieci, zapisanych w wieku szkolnym uczęszcza zaledwie szesnaścioro. Gdzie jest przymus nauczania? Konia z rzędem, kto mi wskaże jego adres!. W pewnym przedsiębiorstwie państwowym odbywa się wypłata należności robotnikom. Jest garstka niemców, którzy dziś, jutro opuszczą na zawsze ziemię Piastów. Wszyscy kwitują otrzymaną należność starannie i ładnie, podpisując swoje nazwiska literami łacińskimi lub gotykiem. Wszyscy piśmienni. Nasi zgarniają za przepracowany miesiąc niezłą należność: dziennie dwa kg. żyta, kilo pszenicy, kilo jęczmienia, osiem kilo ziemniaków i 35 zł. gotówką. Jest ich narazie dziesięcioro. Dziewięciu podpisać się nie może. Krzyżyki nie są tolerowane. Za niepiśmiennych rodaków podpisuje się ciągle jeden. Ma w swem nazwisku sześć liter i podpisując się gubi dwie. Mówi, że „to nic, bo i tak każdy wie, co ma być w kupie". Gdzie był przymus nauczania do 1939 roku? Czy obecnie mamy dreptać po tej samej drodze zacofania w epoce wielkich wynalazków i odkrycia sekretu rozładowania atomu? Tu trzeba zawiesić wielki dzwon i bić na trwogę.

Stanisław Grabowiecki

WIOSNA

Wiosna ku nam bieży
z radosnymi pogwarkami ptactwa
między rozchylonymi ustami bazi

Dzień przyniosły z nad rzeki kaczeńce.
żółciutkie kwiatki zwiastujące ciepło,
skromne, lecz miłe — bo pierwsze...

Na proboszczowskiej lipie jak co roku
gospodarzy bocian w czerwonych butach
klekotem dodając sobie otuchy

Drogą wśród wsi jedzie wóz od kowala,
konie raźno parskają w zaprzęgu
— wiosna... Jutro w pole!...

1947

Jan Marszałek

W obronie metafory

Wiele się zarzucało i nadal zarzuca poezji współczesnej. Wychowani na młodopolskich wzorach czytelnicy poezji współczesnej nie mogą się pogodzić z nowymi figurami poetyckimi. Liliowe duchy Młodej Polski do tego stopnia ustaliły pojęcie wiersza i poezji, że nie sposób już niemal wytłumaczyć, że poezja to ani rym, ani ładne, poetyczne słówka (żal, tęsknota, liliowe zmierzchy). Że ważniejsza od nich w poezji jest w najszerszym tego słowa znaczeniu pojęta **metafora.**

Metafora to nie wymysł oderwanych od życia pięknoduchów, ale element, bez którego żadna poezja jest niemożliwą. Powstała ona i rozwijała się w wyniku dążności człowieka do możliwie najbardziej precyzyjnego wyrażenia myśli. I tylko ktoś bardzo ograniczony może uważać, że prawdziwy poeta po to posługuje się metaforą, by uczynić się bardziej niezrozumiałym a przez to sztucznie „pogłębić" problematykę płytkiego w istocie utworu.

Tym niemniej tak szeroko pojęta metafora to zagadnienie bardzo złożone i wiąże się ściśle z dwoma zasadniczo różnymi poglądami na poezję.

Przedstawiciele jednego z tych poglądów uważają, że zadaniem poezji jest dostarczanie wzruszeń, wtedy nie trzeba będzie bynajmniej rozumieć idei utworu, wystarczy odczuć nastrój w nim zawarty, resztę może sobie czytelnik sam „dośpiewać".

Jeden z przedstawicieli tego kierunku Julian Przyboś w „Uwagach o nowej liryce" taki wyraża pogląd: „Zrozumieć poemat to nie tylko połączyć związkami logicznymi poszczególne zdania, uchwycić anegdotę, ale przeżyć strzelającą racami wyobraźni wizję, odczuć odruchy instynktów, przeczuć, aktów woli, drgnień uczuć".

Uważa on dalej, że „słowo potarte o słowo stanowi wartość absolutną, jak dźwięk w muzyce. Już nie opowiada o przeżyciach, lecz je wyraża, wzrusza bezpośrednio".

Ta poezja będzie zawsze działała na wyobraźnię czytelnika, nie na intelekt. Dla poruszenia wyobraźni nie potrzeba bynajmniej więzi logicznej pomiędzy poszczególnymi członami wiersza — zdaniami czy pojedyńczymi słowami. Wystarczy tu intuicja.

Temu stanowczo przeciwstawiają się zwolennicy jasności i zrozumiałości w poezji. Twierdzą oni, nie bez słuszności zresztą, że każde słowo ma swoją wartość absolutną, której naruszyć nie wolno pod żadnym pozorem. Zdają się oni jednak nie doceniać faktu, że słowo mimo swej wartości absolutnej posiada jeszcze wartość względną, uzależnioną od kontekstu, w którym zostało użyte.

Poza tym zdają się oni również przeoczać fakt, że język poetycki różni się zasadniczo od języka prozy, właśnie dlatego, że jest to język poetycki. A główna cecha tego języka to skłonność do metafory, której zawdzięcza on precyzję w wyrażaniu niemal niewyrażalnego. Tam, gdzie język prozy nie jest w stanie oddać nastroju, skreślić wizji, tam zawsze w pomoc przychodzi metafora.

Tych prawd nie chce między innymi uznać St. Paleczny, który w notatce („Poetom ludowym ku uwadze") zamieszczonej w nr. 2 (81) „Wsi" tak bez ogródek gromi współczesnych poetów ludowych za uleganie „nowinkom" literackim, a przez to i za „tracenie łączności" z wsią z powodu publikowania przez nich utworów, którym autor notatki zarzuca „niezrozumialstwo".

Problem niezrozumialstwa w poezji omawiał kilkakrotnie nieżyjący już obecnie Karol Irzykowski, najwybitniejszy krytyk literacki lat międzywojennych. I on również twierdził, że „pisać, znaczy czynić się zrozumiałym". Poeta winien zawsze pamiętać, że pisze nie sobie a muzom, że pisze, by być czytanym a stąd wynika obowiązek wynalezienia takich form wysłowienia, które byłyby prostsze i zrozumialsze.

Jednakże i on, ten wytrwały prześladowca niezrozumialstwa ma pewne zastrzeżenia. Na pytanie bowiem, czy poezja ma wypowiadać myśli, a więc czy ma być narzędziem komunikatywnym, w przypisach do tomu „Wiersze i dramaty" daje odpowiedź negatywną:

„Uważam lirykę za instrument zbyt delikatny, by mogła wypowiadać myśli. Myśl dla liryka staje się tematem nie jako zagadnienie, lecz jako bodziec dla rodzenia się i kotłowania uczuć".

Paleczny sugeruje poetom „Wsi", że ich poezja na wsi nie może być zrozumiana.

Mam jednak podstawę do tego, by sądzić, że tak źle jeszcze nie jest.

Byłem na krótko przed wojną na pewnym wieczorku w szkole rolniczej w łowickim, na którym miedzy innymi recytowano wiersze nawet „bardzo współczesnych" autorów. Recytował Henryk Ładosz. Recytował wiersze Zagórskiego, Sebyły, Czechowicza, Młodożeńca i innych, których już nie pamiętam.

Wiemy dobrze jak Ładosz recytuje. Może to i skutek jego recytacji, ale publiczność złożona zarówno z młodych dziewcząt i chłopców wiejskich jak i z przedstawicieli starszego pokolenia wiejskiego oklaskiwała tak gorąco poezję współczesną jak mało która publiczność. A przecież była to poezja w całym tego słowa znaczeniu nowa, i może gdyby podano ją „na papierku", w tygodniku literackim, czy w tomiku poezji, niejeden z owego audytorium wzruszyłby za ob. Palecznym ramionami na ów „nierozumny układ wierszy", natomiast w interpretacji rozumiejącegu utwór recytatora poezja ta stała się każdemu bliska i zrozumiała.

Chodzi tu bowiem o sam fakt „osłuchania" się z nową poezją. Tego „osłuchania" brak nie tylko ludziom ze wsi, ale nawet niejednemu inteligentowi. Dlatego bardzo dobrze robi Polskie Radio, że codziennie nadaje swoje „pięć minut poezji". Przeszkodą jest tylko to, że na razie wielu nie może sobie pozwolić na taki luksus jak aparat radiowy.

Jestem przekonany, że ani wiersze Lenartowicza, Pola czy Syrokomli, ani też innego z tak zwanych zrozumiałych poetów, gdzie to i rym jak się należy i treść i sens i rozumny układ pisanych wierszy — takiego entuzjazmu w żadnym wypadku ubudzić nie byłyby w stanie.

Bo tu nie chodzi o samo „niezrozumialstwo". W grę wchodzi artyzm, owa wysoka technika pisarska o której z takim przekąsem wyraża się St. Paleczny.

Narzędziem tej wysokiej techniki jest współczesna metafora, tak śmiała i nieoczekiwana, że wśród ludzi o tradycyjnym poglądzie na sprawę wiersza i poezji budzi często niechęć i lekceważenie.

Ale całkiem najczęściej nieusprawiedliwione. Bo pomijając sporadyczne wypadki „przeciągnięcia struny" lub też pospolitą grafomanię, na ogół poezję naszą cechuje niepospolita siła wyrazu. To zaś możliwe jest jedynie przez śmiałe użycie sugestywnej metafory.

Naprzykład taki fragment:

„rózgi brzóz rysowały wicher"
J. Przyboś — „Znak"

Czy możliwe jest bez użycia nowoczesnych środków ekspresji poetyckiej ukazania bezlistnej brzozy szarpanej gwałtownym wichrem?

Albo taki:

„noc to koło
w ciszy niebieskiej wełnie
wilno kościelne
śpi białe jak gołąb"
J. Czechowicz — „prowincja noc"

Czy też inny fragment tegoż Czechowicza:

„śnieżne konie śnieżyca po świętym Marcinie
zamieć dom tratowała a dom mocny wytrwał
dawny czas w zegarach szafach skrzyniach
litwa litwa".

To są wszystko strofy o niemal namacalnych zarysach wizji, nie przez jasne i proste wyrażanie myśli, ale przez genialne wprost użycie metafory.

Nikt bynajmniej nie myśli twierdzić, że wiersz nie powinien być jasny i zrozumiały. Jasność, prostota i zrozumiałość utworu, to są kanony przyjęte od wieków i nie tylko w poezji. Ale źle jest jeżeli tymi kanonami zasłania się drugą stronę medalu w poezji, a tą jest artyzm. Tego zaś lekceważyć nie wolno, nawet pod pozorem, że chce się być „jasnym i zrozumiałym". O wartości bowiem sztuki wszelkiej, a więc i poezji decyduje poziom artystyczny przede wszystkim.

I dlatego nawet człowiek, który tak zawzięcie walczył o poezję „zrozumiałą" jak Karol Irzykowski przyznaje: „poeta już w chwili tworzenia nie może się krępować względami na zrozumiałość" („Słoń wśród porcelany"). Uważa on bowiem, że tajemnica jest rdzeniem i źródłem poezji, że słowo poetyckie winno docierać do ostatecznych tajemnic. Będzie to niezrozumiałość nieznanego.

Czyż poetom ludowym należy zabronić uczestnictwa w tym odsłanianiu tajemnic, tylko dlatego, że to są poeci ludowi?

Takie stawianie sprawy uważam za niegodne i szkodliwe nie tylko dla samych poetów, ale i dla ludu.

Niegodne, bo pragnie ograniczyć poezję ludową do takiego poziomu, by była „bez trudu" przyswajana przez masy ludu wiejskiego, a więc poezja na użytek „kmiotka".

Szkodliwe, bo przy takim postawieniu sprawy poziom kulturalny mas ludowych nigdy się nie podniesie.

Poeci, którzy dziś świadomie chcą tworzyć dla wsi, musieliby ustąpić miejsca tym, którzy będą z łatwością przyswajani przez masy ludowe.

Nie tędy droga ob. Paleczny do kulturalnego podnoszenia wsi.

Z tej choćby prostej przyczyny, że kto chce coś podnosić, ten musi nadążać z duchem czasu, a nie cofać się na stare, choćby nie wiem jak uświęcone pozycje.

Nikt zaś kto chce bezstronnie i uczciwie rozpatrzeć naszą sytuację kulturalną, nie może przejść do porządku dziennego nad artystycznym wysiłkiem naszej poezji lat międzywojennych od „awangardy" krakowskiej poczynając, na najmłodszym „autentyźmie" kończąc. Każdy z tych prądów i prądzików coś nowego wnosił do naszej kultury poetyckiej.

Czy ob. Paleczny życzyłby sobie, by wieś tego wszystkiego była pozbawiona i to w imię wzniosłego hasła podnoszenia kulturalnego mas ludowych?

Redaktor Stefan Lichański stawia tutaj sprawę na innej płaszczyźnie. Proponuje on wznowienia z naszej literatury dawnej na użytek wsi. Ale czy przez zarzucenie wsi utworami tak sielskich i tak zrozumiałych poetów jak Pol, Lenartowicz, Syrokomla czy nawet Konopnicka osiągniemy to, że i Piętak stanie się więcej zrozumiały, czy Czechowicz?

Wątpię.

Takie rozwiązanie kwestii miałoby tylko jedną stronę dodatnią: uchroniłoby wieś od niechybnego zalewu grafomanią typu „zrozumiałego", jaki niechybnie by nastąpił gdyby dziś rzucono na wieś poezję kontynuującą w formie poezji lat dawno minionych. Każde epigoństwo ma zawsze coś wspólnego z grafomanią, a już epigoństwo formalne romantyzmu, pozytywizmu, czy młodej Polski byłoby z pewnością nie do strawienia. Więc też publikacje owych poetów w oryginale z tego względu miałyby niewątpliwą przewagę nad wątpliwej wartości kopiami ich epigonów, ale w żadnym razie nie rozwiązywałyby kwestii ostatecznie. Bo nawet projektodawca traktuje je jako etap pośredni.

Droga właściwa, bo jedynie rozwiązująca zagadnienie bez reszty, moim zdaniem wiedzie tylko przez szkołę.

Brak szkoły, albo niedostateczny jej poziom był i jest przyczyną dotychczasowego zacofania kulturalnego, gospodarczego i społecznego wsi. I tak jak w tamtych dziedzinach, tylko szkoła, pełna na odpowiednim poziomie postawiona ośmioletnia szkoła podstawowa dać może nam gwarancję poprawy na lepsze także i w tej dziedzinie. Dziecko wsi, które przez osiem lat będzie obcowało z nowymi zdobyczami kulturalnymi swego narodu, nie będzie na pewno potrzebowała specjalnie do swego poziomu przystosowanej literatury, zniknie chłop, albo całkowicie nie czuły na piękno utworu literackiego, albo też konsumujący dobra kulturalne specjalnie dla niego spreparowane, łatwiej strawne. A obok tego, co nie jest również bez znaczenia — zniknie kryzys pisarza współczesnego, mało albo wcale nie czytanego, z powodu małego zainteresowania literaturą współczesną.

Należy tylko wieś oswoić z nową literaturą, z nową poezją. Przecież i wśród inteligencji miejskiej zdarza się aż nazbyt często spotkać z opinią o całkowitej bezwartościowości dzisiejszej poezji. (Więc pogląd o „niezrozumialstwie" poezji współczesnej to bynajmniej nie wynalazek wiejski). Dla takiego „inteligenta" wystarczy zasłyszana gdzieś tam pokątnie opinia, że poezja dzisiejsza to „bzdura", by nawet nie fatygując się przeczytać choćby jednego tomiku tej „niezrozumiałej", przy każdej okazji podnosić „zrozumialstwo" takiego Mickiewicza, czy Słowackiego, a naśmiewać z „łamańców" współczesnych. Choć gdyby takiego prokuratora poezji dzisiejszej przycisnąć z lekka do muru to okazałoby się, że i metafory Adama Mickiewicza uznanego ogólnie za poetę zrozumiałego są dla niego mimo wszystko niezrozumiałe. Jak bowiem można rozumowo wytłumaczyć „muzykę kwiatów" („Sonety krymskie"). Nie mam pod ręką żadnego tomu naszych wieszczów narodowych, dla tego nie mogę w tej chwili dostarczyć więcej przykładów z pamięci. W każdym razie ciekawych a bezstronnych krytyków odsyłam właśnie do nich. Niech na przykładzie naszych „zrozumiałych" przekonają się, że metafora, to nie jest coś co się rozkłada na czynniki, czy pierwiastki, z których każdy można brać pod światło, obmacywać, mierzyć, ważyć i oceniać ich przydatność czy celowość w pewnym zespole słów. Metaforę można odczuć jako trafną, skoro ona do nas przemówi, lub chybioną, gdy jej nie zrozumiemy, ale nie zawsze wolno z tego powodu lekceważyć autora. Czasami wina może być po stronie czytelnika. Czyż możemy winić za to Słowackiego, że jego „Król Duch" jest nie dla każdego zrozumiały?

Najbardziej zdecydowanymi przeciwnikami poezji współczesnej bywają ci, którzy stykają się z nią przypadkowo. Dla nich niema żadnych wyjątków. Wystarczy im dowiedzieć się, że to poeta współczesny, by zrezygnować z lektury jego utworu.

Człowiek zaś, który chce bezstronnie ocenić nasz dorobek poetycki, musi stwierdzić, że aż tak tragicznie jeszcze nie jest.

Przeciwnie. Wiersze bez treści i sensu to na ogół właśnie wyjątki i zdarzają się zarówno u nowatorów jak i tradycjonalistów. Dziwi mnie opinia, że we „Wsi" owe „łamańce" są zamieszczane. Bo jakkolwiek mam przed sobą numery z jednego zaledwie kwartału, nie mogę takich właśnie wyszukać.

Paleczny rzuciwszy pod adresem poetów „Wsi" „hurtowe" oskarżenie, nie przytoczył konkretnych wypadków „stosowania różnych łamańców i wyrażeń słownych, nad których rozumieniem często nawet oczytany człowiek musi się trudzić". Nie wskazanie tych wypadków uniemożliwia na ten temat dyskusję.

Prócz tego różni nas pogląd na sprawę poety ludowego.

St. Paleczny chciałby w nim widzieć poetę pisującego na poziomie mentalności przeciętnego chłopa, dla mnie zaś to poeta, który nie tylko pisze o ludzie i dla ludu, ale jest tego ludu wyrazicielem, który czuje z nim jego krzywdę, który cieszy się jego radością, który przez swoją współpracę w gronie twórców nowych dóbr kulturalnych, jako świadomy swoich zadań poeta chłopski wypleni krzywdzący społeczeństwo wiejskie mit o gorszym gatunku ludzi ze wsi. Dlatego nie godzę się na rozdział literatury na inteligencką (dla przysłowiowych wyższych dziesięciu tysięcy) i wiejską, dla „prostego ludu", dla „kmiotka", choćby dla tego, że wieś ma prawo korzystać z dorobku kulturalnego całego narodu, a nie jedynie jej „lżejszego kalibru". Zdrowo pojęta demokracja tego wymaga i prosta sprawiedliwość.

W ten sposób nie wychowamy nigdy na wsi miłośników literatury pięknej. Zamieszczanie natomiast przez „Wieś" utworów nawskroś „nowoczesnych", choćby początkowo miały być przez wieś niezrozumiane, ma tę bezsporną zaletę, że czytelnik oswoi się z nową poezją a z czasem zacznie ją i „rozumieć" (o ile wolno w ogóle mówić o rozumieniu piękna utworu poetyckiego, które moim zdaniem odczuwa się jeno).

Postępując w ten sposób, nie tylko nie będziemy od wsi tego piękna odsuwać, lecz przeciwnie — przybliżać je, ale tylko tym, którzy go naprawdę łakną. Rola człowieka, pragnącego wsi dostarczyć literatury pięknej, winna polegać na propagowaniu jej, a nie pomstowaniu na twórców, że piszą niezrozumiale. Kiedy bowiem raz rozbudzimy rzetelne zainteresowanie poezją na wsi, sprawa zostanie załatwiona. Ci bowiem, którzy naprawdę będą łaknąć piękna, nie będą wymagali utworów przyswajalnych „bez trudu". Świadczy o tym entuzjazm audytorium z wspomnianego przeze mnie wieczorku H. Ładosza w łowickim.

Ów niekłamany entuzjazm chłopskiego audytorium to najlepsze świadectwo, że chłop potrafi ocenić prawdziwe piękno i to pozwala mi wierzyć w możliwość kulturalnego podniesienia naszej wsi właśnie przez poezję.

Skoro bowiem wieś poprzez odpowiednio postawioną szkołę odczuje potrzebę „strawy duchowej" w formie literatury pięknej, możemy być pewni, że zniknie wtedy kwestia „literatury dla ludu", rozumianej jako dział specjalny, coś w rodzaju „dla dzieci i młodzieży".

Dla osiągnięcia tego celu konieczne jest już teraz zaznajomienie wsi z nową poezją nie tylko drogą publikacji książkowych, w podręcznikach dla młodzieży szkolnej czy w pismach literackich, ale w pierwszym rzędzie przez organizowanie wieczorów poetyckich na wsiach. Akcja taka przeprowadzona planowo dałaby z pewnością dobre rezultaty. Słowo poetyckie z estrady miałoby poza tym tę stronę dodatnią, że uniemożliwiałoby słuchaczowi zbędne dla zrozumienia całości utworu wnikanie w poszczególne metafory, których drobnostkowa analiza przez domorosłych krytyków stała się źródłem oceny poezji współczesnej, jako niezrozumiałej, czy nieczytelnej.

* * *

Biorąc w obronę poezję współczesną przed atakiem S. Palecznego miałem na myśli jedynie poezję z prawdziwego zdarzenia i jestem zdania, że snobująca „nowoczesna" grafomania" zniknie szybko ze szpalt naszej prasy, skoro tylko redakcje pism literackich przeprowadzą sumienną selekcję utworów pod względem artystycznym. Ale sprawa grafomaństwa i niezrozumialstwa, to sprawy zupełnie różne. Można bowiem twierdzić, że Przyboś jest „nieczytelny", ale jego wysiłek artystyczny ocenić jako grafomaństwo, to byłoby nieco zbyt surowo. Tym bowiem najradykalniejszym z nowatorów zawdzięczamy i najoryginalniejsze osiągnięcia w dziedzinie poetyckiego wyrazu, w dziedzinie metafory. Grafomania zaczyna się dopiero w nierozumiejącej czy niedorównującej swoim mistrzom plejadzie epigonów. Tych jednak z prawdziwymi poetami mieszać nie wolno, tym bardziej nie wolno na ich przykładzie określać i ujemnie oceniać dorobku zasłużonej lewicy poetyckiej.

List do redakcji

Do Pana Redaktora Naczelnego „Wsi"
w Łodzi

W związku ze zmianami, jakie zaszły w obsadzie redakcji tygodnika „Wieś", prosimy Pana Redaktora o zamieszczenie w najbliższym numerze Jego poczytnego pisma następującego oświadczenia:

„Jesienią 1945 r., gdy „Wieś" stała się czasopismem literacko-społecznym, Zarząd Oddziału Wiejskiego ZZLP wziął udział w redagowaniu pisma, delegując ze swej strony kol. Stanisława Piętaka. Literaci chłopscy współpracowali z „Wsią", wypełniając po większej części jej łamy swoimi utworami i dzięki temu tygodnik uchodził w opinii społecznej oraz literackiej za organ Oddziału Wiejskiego.

W marcu 1947 r. w obsadzie redakcji pisma zaszły poważne zmiany i między innymi, co stało się za wiedzą Zarządu Oddziału, ustąpił również kol. Stanisław Piętak. W związku z tym oświadczamy, że pisma „Wieś" nie należy uważać za organ Oddziału Wiejskiego Zw. Zaw. Lit. Polskich, gdyż od dnia 20 marca br. nikt z ramienia Zarządu nie bierze udziału w jego redagowaniu. Rezygnując z wpływu na tyg. „Wieś" Zarząd nie ogranicza swobody członków Oddziału Wiejskiego w dziedzinie współpracy redakcyjnej i literackiej".

Dziękujemy serdecznie za umieszczenie powyższego

Za Zarząd
(—) E. Marzec
Sekretarz

Warszawa, dnia 1.IV. 1947 r.

Dyzma Gałaj

CIOTKA Z MYSTKOWIC

Słupy wyrosły wreszcie i w Mystkowicach. Uszeregowały się w marszu od Zdun, Strugienic, Wierznowic, przez Bzurę, Łąki Bocheń, doszły do pierwszego gospodarstwa w Mystkowicach, jeszcze raz dokładnie skłóciły częściaków z półwłócznymi i wreszcie pozwoliły się związać drutami, przez które płynie tajemniczo prąd podobno aż z dalekiego Płocka i Włocławka. W mystkowskim słowniku obok tradycyjnych wrażeń powstają nowe, obrazując zachodzące zmiany. Słyszysz: prąd, kabel, izolacja, licznik, trójfazowy, korek, oprawka, żarówka, „stowa". Cały szereg ludzi, szczególnie młodszych, cieszy się i uwija po wsi i wokół własnego gospodarstwa, by jak najszybciej, żeby jeszcze przed żniwami zabłysły elektryczne lampy. Toż to, psiakrew, będzie wygoda! Dalsze wsie popękają z zazdrości! Starzy coprawda odnosili się do tej sprawy od początku z pewną niechęcią i nieufnością. Nie mieli, naturalnie, nic przeciwko temu, żeby było widno w izbie, ale jakżeż to tak? „Przekręcić ino taki pstycek i sie świeci? Bez knota, bez nafty? Tak jak po miastach? Tam może jest toto i dobre, ale u nos? Rozpusta i nic więcy. U nos sie to wcale nie nadaje"—tłumaczyła mi Ciotka. Mieszkała ona w Mystkowicach, i miała ponad pięćdziesiąt lat. Należała zatem raczej do starszych, choć w jej pojęciu różnie ta sprawa wyglądała.

— Dlaczego się nie nadaje? — zapytałem zdziwiony.

— Nie nadaje sie i juz. Kto to słysoł coś podobnego. Nase dziady-pradziady lampów nie znały i dobrze im beło, a my sie wysodzowa. Zeby nos aby Bóg za to nie pokoroł — westchnęła zgnębiona.

— Eet, Bóg tam będzie sobie zawracał głowę ciotczyną lampą. W mieście ludzie świecą, jeżdżą, gotują przy pomocy elektryczności, zagranicą każde gospodarstwo zelektryfikowane i przecież Bóg tam swojego gniewu jakoś nie okazuje. Ba, widocznie nawet błogosławi, bo im się bardzo dobrze powodzi.

— To niech. Miasto i zagranica to co insego, a nase Mystkowice co insego. Powiadom ci, ze nic dobrego z tego nie będzie, to nie będzie—zgniewała się ostatecznie Ciotka. Zrozumiałem, że rozmowa na tymczasem skończyła się. Zirytowałem się nią, bo jakżeż się nie zirytować. Przypadek zrządził, że energia elektryczna oddaje im się w służbę, a tu masz, jak ją witają — idź do miasta, idź zagranicę. U nas porządni mieszkają.

— Nie przekonasz starej — uspokoił mnie Stacho (Ciotki zięć). Od samego początku jak zaczęło się we wsi kręcić koło tej elekstryki, tak lata i łata jak kura z jajem. Urąga, krzyczy, wydziwia, płacze i nie da się z niczym tknąć. Całą gospodarkę trzyma w garści i ani trochę nie popuści. Czy ona nie ma rozumu czy co? Przecież jeśli tak dalej potrwa to co mnie za niewola tu siedzieć. Jadę z Helką i Kaziem na Zachód, a tu niech się wszystko wali.

— A wszystko przez tego Jaśkowego postrzelińca — rzuciła z podwórka Ciotka — lotoł po Bochyniach, po Zdunach, a tero ty człowieku cierzp.

— Dlaczego Ciotka ma cierpieć? Nie zawracałbym sobie głowy czymś na co nie mam chęci i koniec.

— Nie zawracołbym głowy, nie zawracoł — przedrzeźniała mnie Ciotka — a ludzie powiedzą potym, ze niedbaluch kobieta, ze nic ni mo, ze niedołęga... Mnie to przecie na co potrzebne? No, na co? Powiedz. Ale jakze jo moge nie załozyć tego? Witki bedą mić, Gajdy, Rochy, Jaśki, Witerki, a jo co? Bedą sie śmioć ze mnie — pożaliła mi się zgnębiona.

— Pewnie, że tak. Ludzie są od diabła. Zupełnie nie wyrozumieją drugiego. W naszej wsi też jest jeden taki co się uparł i świeci karbidówką, to mu drogi przejść nie dają. Śmieją się, że dziadok, że łamaga, że najgorszy gospodarz i niedołęga — postraszyłem Ciotkę.

— No widzis no ty, widzis.

— My wszyscy, wie Ciotka, pstryk i widniutko jak w dzień, a on kotusi i kotusi tym lampiskiem. A jak w niedzielę idzie do kościoła, to dzieci krzyczą za nim — dziadok! dziadok!

Ciotka zakręciła się na pięcie i poszła. Nie omyliłem się, przeczuwając, że jej po tym dziadoku „z naszej wsi zelżały trochę opory, bo gdym po dwóch tygodniach zajrzał tam wracając z Łowicza, zastałem ruch w całym domu. Ciotka, naburmuszona jeszcze, szykowała majstrom zakąskę do wódki. Ucieszony tym wszystkim pocałowałem ją w rękę na przywitanie i nie bardzo wiedziałem od czego zacząć rozmowę. Stacho kręcił się wraz z monterami po kątach. Wszędzie go było pełno. Helka też coś tam pomagała. Mały Kazio oplątał się w jakieś druty bezładnie rzucone na podłodze. Za oknem jaśniał świat skąpany w słońcu.

— A wies? — odezwała się nagle Ciotka od patelni — Fijołek nijak nie chce sie dołozyć do linii. I nie chce sie dołozyć i nie chce zakładać u siebie.

— Dlaczego?

— A ciorci go tam wiedzą. Nie chce i tyla. Jesce un mozeby sie doł skusić, ino una go tak mustruje. Nie i nie, powiado. Zrestą, za co załozą? Przecie to kostuje galanty piniądz, a un, gołodupiec, wiecnie bez portek chodzi. Niedbaluchy, dziadoki ruszyła wzgardliwie ramionami.

— Pewnie, że niedbaluchy.

Czułem do Ciotki wdzięczność, choć zupełnie nie rozumiałem dlaczego. Boć, czy to dla mnie światło? Czy mnie Ciotka gospodarkę szykuje? Czy ja zdobywam jakąś tam we wsi opinię? A jednak było mi lekko i miło. Gotów byłem odpuścić Ciotce i innym wszystkie popełnione w stosunku do mnie winy. Ogłosić taką sobie małą amnestię. I dlatego chyba z miejsca polubiłem montera instalującego u Ciotki światło i również chyba dlatego z uciechą dużą zezwalałem na buszowanie Kazia po moich kieszeniach i teczce. Z buszowania tego wynikły ciekawe skutki, bo choć ich pierwotnym celem było wykrycie cukierków, to skończyło się na kuchence elektrycznej, którą wiozłem matce.

— Co to wuju? — spytał zaciekawiony brzdąc.

— Kuchenka elektryczna.

— Po co?

— Do gotowania mleka.

— A gdzie ogień?

— Ogień na drutach. Z drutów przeleci przez takie specjalne gniazdko, przez sznur, rozpali te kręcone druciki i ugotuje mleko.

— Ugotuj, wuju, mleko.

— Niech ci matka ugotuje.

Akurat wszedł monter i powiada, że kontaktu nie instaluje, bo gospodyni nie życzy go sobie. Ma być punkt w jednej izbie, w drugiej, a trzeci przed obrazem Matki Boskiej. Zrobiło mi się głupio, bo Ciotka znowu straciła w moich oczach. I przecież muszę jej wytłumaczyć, że nie trzy, a raczej dwadzieścia trzy punkty potrzebne są w gospodarstwie. Jak to zrobić?

— Ciociu — zacząłem.

— Co chces? — zdziwiła się tym niecodziennym zdrobnieniem.

— Dlaczego tylko trzy?

— Cóz my po więcy?

— No, a w sieni?

— W sini siedzi się latym, to światło niepotrzebne. Dziń długi.

— A w komorach?

— A cy jo w komorach siedze? Wysywom moze?

— A na podwórzu? Przed chałupą?

Spojrzała na mnie złym okiem.

— Ciociu, a w stodole? Trzeba założyć i zwykłe światło i „siłę" do motoru. A w stajni, kurniku, chlewach? A w oborze do dojenia krów? W Ameryce, Ciociu, radio w oborach krowom gra.

Ciotka położyła na mnie umęczone oczy i rzekła w rozpaczy — cego ty ode mnie chces?

— Naprawdę. To wszystko jest bardzo potrzebne. I gniazdko też.

— Jakie tam znowu gniozdko?

— Kontakt. Żeby można zagotować na elektryczności wodę, mleko. Szybko, czysto. Do uprasowania specjalnym żelazkiem też kontakt potrzebny, a w przyszłości przecież Ciotka i radio sobie nabędzie, to gdzie Ciotka je wiączy?

Tłuszcz skwierczał i pryskał wokół patelni. Garnek i miski grzechotały w poparzonych rękach Ciotki. Obiad był prawie gotów. Nikt nie przerywał milczenia. Kazio drobnymi paluszkami grał na spiralkach kuchenki.

— Wuju, dasz mi kuchenkę?

— Podoba ci się?

— Tak. Dasz?

— Dam ci. Będziesz na niej gotował.

— Jak?

— Teraz jeszcze nie. Trochę później. Babcia założy tutaj, o, w tym miejscu, koło kuchni, kontakt i wtedy włożysz w ten kontakt wtyczki ze sznurem i samo ci się ugotuje.

— Bez zapałek.

—Bez. Tylko musisz ostrożnie wtyczki wkładać, żeby cię prąd nie złapał.

— A gdzie ma mordlę? — zdziwił się po chwili.

— Kto?

— No, prląd.

— Nie ma mordy, dzieciaku kochany, nie ma. Zostawiam ci kuchenkę i gospodaruj sobie. A babcię poproś o kontakt. Bardzo poproś. Dowidzenia. Nacisnąłem pedały i pojechałem do siebie.

———

Od tamtego dnia dzieli nas prawie dwa lata. Dużo zmieniło się przez ten czas w Polsce, dużo w Mystkowicach, ale największe zmiany zaszły w usposobieniu ciotki.

Dojeżdżam właśnie do wsi, do Mystkowic. Mokro jeszcze po ciężkiej zimie, ale już wiosna. Cała wieś pływa w błocie i słońcu. Szczególnie na drodze widać kłótnię tych dwóch żywiołów. Nie trudno zgadnąć kto wygra ten pojedynek... A oto jestem na miejscu. Podwórze w nowiutkich, białych sztachetach. Jak w kołnierzyku z „fryzką". Ho, ho, ho! Dorobili się. Na froncie przed domem wisi klosz chroniący żarówką. Jak dorodne, białe jabłko. Widzę, że Ciotka mnie wtedy posłuchała. A taka zdawała się być nieużyta... Wchodzę do sieni. Jest zarówka — notuję tym razem pośpiesznie, bo przez otwarte na podwórko drzwi widzę Ciotkę, kłócącą się ze stadem małych prosiąt.

— Dzień dobry Ciociu!

— Dziń dobry, dziń dobry! A swe! — krzyknęła na pieklące się wokół stado — Bóg zapłać, Bóg zapłać — podawała mi śpiesznie rękę i wyraźnie widać, że ucieszyła się mną. Pewnie to prawda, że mnie kocha.

— Ładne stadko — pochwaliłem prosięta po gospodarsku.

— Aby nie uroc — uśmiechnęła się mile połechtana — ale i zmortwinio z nim mom tyle, ze nawet. Chodź no zy mną, pokoze ci coś.

W kwiku małych, przy rechotaniu i chrząkaniu obwisłej starej ruszyliśmy w stronę chlewa. Ciotka przycięła tam drzwi kolanem, wyjęła skobel i otworzyła naoścież. Z słomianego kłębowiska wynurzyła się druga maciora z rojowiskiem małych. Czyściutkie to, śliczne. Jak z porcelany.

— Ile tego jest? — pytam zdumiony.

— Tych na dworze siedemnaście, a totych dziewietnaście — wyliczyła z dumą.

— No i jak one, tego, z wyssaniem dają sobie radę? Przecież stara nie ma odpowiedniej ilości, tego...

— Cyców. Trza im pomogać. Odsodzo sie, dosodzo i jakoś tam zyją. Zmortwinio z dusynim tyz ni mom, bo załozełam w obóch chlewach światło. Świeci sie całą noc. Swyńsko myśli, ze dziń i widzi gdzie sie wali.

Spojrzałem na Ciotkę z podziwem. Na podwórku tymczasem stara karmiła swe liczne potomstwo, które z całą siłą atakowało jej bezwolne i cierpliwe ciało. Ryjki poruszały się zabawnie, a w oczach, widać wyraźną rozkosz. U Ciotki również.

— Jakie to morduchny uciesne mają — powiedziała ciepło.

Wyraźnie się roztkliwiłem. Cholera — myślę — świńtuchy mnie uwiodły. I zaraz przywołuję się do porządku.

— Ciociu, a jak tam ze światłem? Gdzie zainstalowane?

Spojrzała na mnie dziwnie i zrazu nie odpowiedziała. Po chwili dopiero ciągnęła z triumfem — ty myślis, ze jo cie nie rozumim z tym światłym? Ty myślis, ze jo nie wim co to wygoda? Co to za dobrodziejstwo? Pytos sie gdzie zainstalowane? Tam gdzie potrzeba.

— Czyli gdzie?

— W jedny chałupie, w drugi, w sini, w obóch komorach, przed chałupą, na podwórzu, w oborze, stajni, chlewach, stodole, sieckarni. I wsędzie sie świeci. Nie załuje. Jak ino sie zmierzchnie — świece. Prosiokom świece, koniom świece, krowom świece, boś ty to przecie kiedyś tłumaceł, ze w Ameryce im radia grają, to moje niech sobie chocioz pochlają przy świetle. W chałupie tyz świece, w stodole motur chodzi jaz gro, drzewo na ştachety pocinom „krajzegą", a w chałupie my radyjo godo jak nie wim co...

— Ciociu! — krzyknąłem zdumiony.

— A tyś co myśloł. Ze aby w wasy Łodzi mić będzieta wygode? A my w Mystkowicach to nic?

— Tak trzeba Ciociu, tak trzeba. We wszystkich wsiach tak trzeba — pośpieszyłem wyjaśnić, bo wydawało mi się nagle, że Ciotka podejrzewa mnie o zazdrość.

Potem poszliśmy do mieszkania. Na honorowym miejscu, na stole pod obrazami stał aparat radiowy. Zwyczajna trzylampówka. Żadne cudo. Ale stał. Nad kuchnią zauważyłem drugi kontakt, bo pierwszy służył wyłącznie radiu. Ciotka włączyła aparat i ze znawstwem kręciła gałkami celem oczyszczenia głosu. Zapragnąłem zrobić zdjecie jej zniszczonych, popękanych rąk.

Wszedł Stacho i Helka. Po chwili cieszył się mną hałaśliwie Kazio, który obrabował mnie najpierw z cukierków, a później zauważył, że już duży jest, co było bliskie prawdy, bo wyglądał co najmniej na sześć lat. Przywitaliśmy się wszyscy i zaraz też wjechał na stół obiad. Jedliśmy w milczeniu i z apetytem. W rozmowie istniał ton szorstkiej, chłopskiej serdeczności Ton prawie nieuchwytny. Niezrozumiały dla obcych i dziwnie własny. I wtedy właśnie dowiedziałem się reszty. Że po moim odjeździe w dniu zakładania światła Ciotka zrobiła cholerne piekło. Kontakt jednak, tak jak przewidywałem, założyła. Kuchenkę natomiast owinęła w gazety i zakopała pod zwałem szmat w skrzynce. Światła nie wolno było nikomu świecić. Własnoręcznie przekręcała kontakt i to dopiero wtedy, gdy kożuch zmroku już ostatki dnia wymiótł. Wtedy Ciotka zalewała izbę światłem. Rzecz jasna, że w grę wchodziła tutaj oszczędność i nawyk. Potem założyła światło przed domem. Żeby nie być gorszą, niż inni. Przy okazji znalazło się miejsce na żarówkę i w sieni. A potem to już tak szło jedno po drugim — na podwórzu, w oborach, chlewach, stajni. Znalazł się kupiec na maneż, więc chętnie go się pozbyła a kupiła siedmiokonny motor i założyła w stodole „siłę". Wreszcie okazyjnie kupiła radio. Niedrogo. Być może, że pochodziło z szabru. Mniejsza o to. Ze skrzynki wyciągnęła kuchenkę. Kupiła żelazko. I szło tak wszystko jak w różańcu — po paciorku, po paciorku. Ze Stachem obchodziła się coraz mniej despotycznie. Zrobiło się z nimi lepiej. Cała rodzina czuła, że weszła na nową drogę. Nie było tylko przy obiedzie zgody co do sumy jaką mieli w przyszłości zgarnąć za prosięta. Jedno chciało za nią chlewki budować, drugie — dopożyczyć i skanalizować gospodahstwo. I masz nową niezgodę — myślę z uciechą — a wszystko przez tę diabelską elektryczność.

Poweseleliśmy jeszcze bardziej, gdy Kazio po którymś tam cukierku zaczepił mnie — Wiesz co wuju?

— Nie.

— Wiesz jaką prąd ma mordę?

— Nie.

— Szarpatą.

— Skąd wiesz?

— Bo mnie szarpnął.

— To go nie lubisz?

— Nie. Radio lubię.

— Dlaczego?

— Bo grają, śmieją się, śpiewają, opowiadają ładnie. Raz dziewczyna zemdlała. Jechała na wielbłądzie przez taką pustynię, bo ją porwali niedobrzy ludzie... — zaczął opowiadać z przejęciem.

— Mój Boże — przerwała mu Ciotka — tako krusyna i juz wie o jakisiś wielbrądach, słysy, ze ładnie opowiadają. Co to za dobre urządzynie to radyjo...

Po chwili dodała — przed śmiercią to jesce chciałabym aby zobocyć morze i tranwaj. Jakie tyz jest to morze w burzę. W tako okropno wichure o jaki mówią w radyjo... I jak sie jeździ tranwajamy. W Warsiawie, abo w Łodzi. Wszystko jedno. Przez radyjo sie nie zobocy — zażartowała nakoniec smutnie, wstała i poszła z piciem do prosiąt.

W OSTATNIM 14—15 (93—94) NUMERZE „WSI" z dnia 6—13 kwietnia 1947 roku:

Władysław Błachut — Przed pół wiekiem; **Henryk Syska** — Echa... echa..; **Andrzej Strumiłło** — Notatki z Opoczyńskiego; **Józef Andrzej Frasik** — Łza matki; **Józef Ozga - Michalski** — Brzoza; **Mikołaj Sobczyński** — Żarna; **Jadwiga Limba** — Niedziela babia; **Edward Wrona** — Sianokos; **Wojciech Biernat** — Młocki; **Stanisław Paleczny** — Pastereczka; **Czesława Dałkówna** — Pomiędzy rodziną; **M. Kokoszkiewicz** — Po upowszechnieniu własności; **Jan Aleksander Król** — Dzieje „Barabasza"; **Zygmunt Sierp** — Pokój wam, Ballada; Rekolekcje „Wsi": **Józef Szczygieł, Michał Malinowski, Stanisław Paleczny, Maciej Czuła, Mieczysław Grad** — Postęp w sztuce — postępem społecznym; **Anna Kamieńska** — Rozdroże krytyki poezji ludowej; **Jan Bolesław Ożóg** — Wiosna leśna; **Piotr Wyrobek** — „Judasz" na Podhalu; **Stefan Gębala** — Zgrzyty; **Dr Józef Putek** — Mroki średniowiecza; **Tadeusz Chróścielewski** — Śmigus u Marysi; Konkurs na ankietę **„Moja droga do szkoły rolniczej i ze szkoły rolniczej do wsi"**; Pisarze w czasie świąt Wielkiejnocy; Komunikaty, ogłoszenia, 33 ilustracje, 16 stron.

SPROSTOWANIE

Do opowiadania Tadeusza Chróścielewskiego „Śmigus u Marysi" („Wieś" w 14—15) w pierwszej szpalcie u dołu wkradł się błąd korektorski. Zamiast: **Mania w stanie szczęścia** — winno być: **mama wstanie.** (d. c. jak w tekście).
Red.

FAKTY I ZDANIA

Stanowisko świata nauki rolniczej

Nie należy stawiać bariery między zagadnieniami gospodarczo-rolniczymi, a społeczno-kulturalnymi. Obie dziedziny wpływają na siebie bardzo silnie. Wszelkie wysiłki zdążające do podniesienia gospodarczego, a więc i techniczno-rolniczego wsi mają swój wyraźni aspekt społeczno-kulturalny i są jednym z czynników kultury ogólnej. I na odwrót.

Słusznym jest również, że należy rozpatrywać te rzeczy z punktu widzenia ustroju wsi, do którego zdążamy, i chcielibyśmy go osiągnąć.

Stopniowe wyzwalanie się psychiki chłopa z ram „irracjonalizmu“ odbędzie się właśnie drogą ujmowania rolnictwa jako wiedzy. Im bardziej gospodarstwo rolne będzie oparte na podstawach racjonalistycznych, t.zn. im bardziej będzie naukowe, i postęp tej nauki będzie szybszy, i szerzej się rozkrzewiający, tym zależność gospodarza-rolnika od niekorzystnych czynników (choćby pogody) będzie mniejsza. Zdawanie sobie z tego sprawy jest już elementem światopoglądowym a posuwanie się szybsze po tej linii musi zracjonalizować psychikę wiejską. Niewątpliwie należy do tego dążyć. Niewątpliwie uwolni to chłopa z różnych „fatalizmów“ i „agratyzmów“

a. l.

Oświata powszechna a kultura

W artykule dr. Tilgnera „Rolnictwo a kultura“ („Wieś“ nr 17) powtarzają się takie terminy, jak: tradycja, postęp, bierność, „indywidualizm wegetacyjny“, „przezwyciężanie statycznej wizji szczęścia na rzecz szczęścia pojmowanego dynamicznie“, „praca ekstensywna“ i tp. Ale sedno sprawy tkwi nie w rekonstrukcji „charakteru narodowego“ Polaka, a w elementach, które właśnie ten charakter urabiają. I trzeba wyraźnie podkreślić, mówiąc o jakichkolwiek próbach zmiany tego charakteru, że przede wszystkim szkoła: nowa szkoła poprzez wpływ na jednostkę zdolna jest wyeliminować te cechy charakteru, które obiektywnie uznajemy za nasze wady narodowe.

A więc kurczowe trzymanie się „strzechy“, „wsi spokojnej, wsi wesołej“, tego „co ojce robili“, a więc cały balast nadmiernego tradycjonalizmu, który nie jest przecież niczym innym, jak społecznym, czy gospodarczym zacofaniem, da się zlikwidować przez odpowiednio postawioną szkołę.

Nowa rzeczywistość wymaga tego, aby wskazując na opóźnienie w postępie społecznym i kulturowym życia zbiorowego, wskazać również środki do usunięcia zła.

Bo przecież musimy uważać za zbyt ogólną receptę na bolączki naszego życia społecznego takie postulaty, jak:

„Musimy odrzucić podstawy kultury feudalno-szlacheckiej, której owocem jest obecnie nasz spadek i zacofanie i zmobilizować siły, które dziś może jeszcze w uśpieniu i nieświadome swej istoty stać się muszą twórcami naszego życia i rozwoju“.

albo:

„Musi to być bunt przeciwko niskiej wydajności prac rolnika i robotnika,

czy też jeszcze inne:

„Całe powodzenie opiera się przy tym głównie na rozbudzonej i rozbudowanej aktywności najszerszych mas narodu“.

Zarówno bowiem walka ze spadkiem kultury feodalno-szlacheckiej, z zacofaniem, mobilizacją sił uśpionych, nieświadomych swych zadań i możliwości, walka o rozbudzenie najszerszych mas narodu jest uzależniona od realizacji bardziej zasadniczego postulatu — postulatu oświaty powszechnej, realizacji pełnej ośmioklasowej szkoły podstawowej na wsi. Bez realizacji programu oświatowego żadne lekarstwa na tę chorobę nic nie pomogą.

Nie pomoże nawet szkolenie kadr fachowców w zakresie rolnictwa, jak to projektuje autor zamieszczonego w tym samym numerze na tej samej stronie artykułu „Wydajność w rolnictwie“ Stanisław Cieślak — choćby to było szkolenie na szczeblu średnim, a nawet wyższym. Szkolnictwu zawodowemu zwłaszcza, gdy to ma być szkolnictwo na wyższym stopniu, trzeba dostarczyć młodzież już podkształconą ogólnie, inaczej musi ona albo obniżyć poziom nauki do poziomu umysłowego swych uczniów, albo też obok kształcenia zawodowego, dokształcać ogólnie. Szkodliwość bezwzględna pierwszego, jak i wątpliwa wartość drugiego rozwiązania sprawy nie wydaje się ulegać wątpliwości.

Tymczasem autor artykułu „Rolnictwo i kultura“ miast rzecz nazwać po imieniu konstruuje plan zawieszony w przestrzeni. Porusza wszelkie możliwe rozwiązania problemu omijając mimo woli, czy też przez niedocenianie wagi szkoły w środowisku wiejskim, istotne źródło postępu — kwestię oświaty.

Jan Marszałek

Z terenów odzyskanych

Powiat Trzebnicki, leżący na północ od Wrocławia, z samym miastem nawpół zniszczonym od pożaru z czasów działań wojennych — jest śliczną okolicą zdrojowiskową, narazie bez ruchu kuracyjnego, gdyż Państwowe Uzdrowiska nie zdążyły jeszcze tutaj stanąć mocną stopą i wycisnąć swe piętno na mieście i okolicy. Miasto Trzebnica słynne na cały Dolny Śląsk ze swej księżnej świętej Jadwigi, matki Henryka Pobożnego, która ma tu przepyszny grobowiec w kościele ,ostatnio bazylice swej nazwy jest jeszcze mimo dwuletniego okresu powojennego miastem głuchym, niepromieniującym na bliższą okolicę żadnym ruchem kulturalnym czy społecznym. Wina to może nie tyle odpowiednich czynników, ile samej trudności natury terenowej, oraz stanu zaludnienia i jakości tegoż tj. różnym elementom nieskoordynowanym, co znów wynika z wielu przyczyn łatwo zrozumiałych, gdy się zważy, że trzeba wiele czasu, nim Polak zza Buga zżyje się z przybyszami z centralnej Polski i zleje się w jedną narodową masę. Bez tego zlania się w jedno, życie kulturalne i społeczne musi kuleć, co odbija się ujemnie na całości naszego życia na Ziemiach Odzyskanych. Czas jednak robi swoje. — Szkoła, kościół też idą z wydatną pomocą. Wspólny interes i dola osadnicza, często bardzo ciężka zbliża i łączy ludzi o różnych antagonizmach politycznych, społecznych czy kulturalnych. Inaczej wyglądają osady, z nad Nysy czy Świdnicy i inne już tam wre życie niż tutaj. Osadnik, zwłaszcza przybyły tutaj niedawno, musi walczyć z różnymi trudnościami, od których są wolni ci, co wcześniej tu się znaleźli, mimo to jednak wparłszy się w ziemię szeroką stopą uparcie stoi na stanowisku z wiarą, że wszystko zwycięży i zdobędzie niezależność gospodarczą, która pozwoli mu na życie odpowiednie jego stanowi. Indywidualnych gospodarstw już nie ma do objęcia, są za to majątki junkierskie, czekające na polskiego chłopa. Można je jednak przejmować grupowo w formie Spółdzielni Osadniczo-Parcelacyjnych.

Co do wspomnianych Spółdzielni Osadniczo-Parcelacyjnych, to nie są one mile widziane wśród dawniejszych osadników, co jest zrozumiałe, gdyż skończył się szaber z bezpańskiego majątku. Trafiają się nawet wyraźne szykany i odmowy pomocy w gospodarowaniu się. Sprawa ta poszła do Ministerstwa Ziem Odzyskanych. Czy to wpływa wszystko na dobro akcji osadniczej? Chyba nie. **A przecież tyle ludzi chciałoby tu pracować, jak świadczą o tym delegacje,** które zwiedzają teren, badają stosunki i wynoszą stąd dobre i złe wrażenia.

Sprawa szkolnictwa też tu ma swój głos, i powinna być szerzej rozpatrywana przez odpowiednie czynniki, wielka liczba dzieci marnuje się nie uczęszczając do szkół miejscowych z powodu nieobsadzenia ich siłami nauczycielskimi. Pięcio i siedmiokilometrowa odległość, jaką muszą często dzieci przebywać do szkoły (w jedną stronę) nie wpływa dodatnio na naukę, umysł dziecka znużonego długą drogą wolniej i ciężej pracuje. Dochodzi do tego jeszcze kwestia ubrań i obuwia, która jest znośniejsza, gdy szkoła jest na miejscu. Nauczycielstwo nie śpieszy też na Ziemie Odzyskane, gdyż warunki zdają się mu gorsze. Prawda, że nie każdy ma chęć czekać na lepsze czasy i dzielić dolę z cierpliwszymi; różne są natury ludzkie, jedne z poczuciem obowiązku społecznego ,drugie znów przeciwnie. W pracy nad zagospodarowaniem Ziem Odzyskanych muszą wszyscy bez wyjątku tak prości, jak inteligentni, posiadać wysokie poczucie obowiązku narodowego, bez którego akcja ta nie może działać sprawnie i ze skutkiem dodatnim. Wymienione tu pokrótce bolączki osadnicze z powiatu Trzebnickiego nie są jedynymi, jest ich o wiele więcej, ale jak kto może, to je przezwycięża chcąc wytrwać na miejscu, żyjąc nadzieją nadejścia lepszych czasów i poprawy stosunków społecznych.

Stanisław Paleczny

Adolf Kotarba

Listy ze Śląska

Tak się jakoś złożyło, że mimo chęci nie mogłem wcześniej wyjechać na zachód, aż dopiero w sierpniu br.

Zawsze marzyłem o osiedleniu się na Śląsku, z którym związany jestem żywiej niż z innymi Ziemiami Odzyskanymi, brałem bowiem czynny udział w III-cim Powstaniu Śląskim w 1921 roku.

Los rzucił mnie obecnie do Katowic. Trafiłem nieszczególnie, bo o uzyskaniu mieszkania w Katowicach, nie można nawet myśleć.

Jeżeli się znajdzie jakieś nowe mieszkanie, otrzymuje go ten, kto dłużej czeka na ten przydział, a tych oczekujących na przydział jest bardzo wielu.

Z konieczności więc zmuszony jestem „pędzić“ kawalerkę, choć jestem statecznym mężem i ojcem czworga dzieci przebywających dotąd pod Warszawą.

Nie byłem na Śląsku od lat piętnastu. Jest to dość długi okres czasu, mogły więc nastąpić w nim wielkie zmiany w sposobie myślenia, upodobań i życia mieszkańców Śląska.

Wiemy, jakich przewrotów społecznych i innych, można dokonać w takim czasie. Hitler, w krótszym jeszcze okresie przekształcił całkowicie cały naród niemiecki, coprawda łatwiejszy od innych do prowadzenia. Przenicował charaktery, mózgi i dusze (o ile je Niemcy posiadają), podobnie stało się we Włoszech i innych jeszcze postępowych krajach. Doszło do tego, że starsi z nas nie poznają dzisiaj dzieci swoich znajomych z obcych krajów. Są zupełnie odmienni od swych rodzicieli. Zanikły jedne dodatnie cechy, jak grzeczność, uprzejmość, gościnność, dobroduszność, czy pobożność, powstały zaś na to miejsce, chamstwo, nachalność, bezwzględność i bezbożność.

Na Śląsku pozostało po staremu.

W dalszym ciągu Ślązacy, zwłaszcza mieszkający na wsi, jak byli, tak i są łatwi w pożyciu, serdeczni dla dobrych, a bezwzględni dla tych, którzy nie prowadzą się porządnie. Ślązacy z małymi wyjątkami nie przeklinają. Mają jedno najważniejsze i stare, śląskie „niby“ przekleństwo: „pieron“. Porównajmy teraz „pierona“ z innymi tak często nadużywanymi w innych dzielnicach przekleństwami, z których krakowskie „psiakrew“, czy warszawskie „cholera“, są jeszcze, jeszcze możliwe do tolerowania.

Tu możemy poznać ustosunkowanie się Ślązaków do nowych przybyszów. Ślązak który sam nie przeklina, nie lubi, nie znosi, wprost nienawidzi ludzi wyrażających się po łobuzersku.

Tych ostatnich jest w Katowicach i na całym Śląsku sporo, może zbyt wielu.

Analizując to wszystko widzimy, że istnieją tutaj zarzewia nieporozumień duchowych. I albo Ślązacy nauczą się przeklinać (nie daj Boże), albo pogłębi się nieprzyjaźń do nowych przybyszów z głębi kraju, albo też ci ostatni trochę się umoralnią.

Ślązak jest impulsywny i... bokser.

Lubi się napić, a gdy sobie trochę pałkę zaleje, staje się drażliwy i o byle co wszczyna bójkę na pięści. Pociesznie wygląda, gdy 2-ch pijanych, po pierwszych grzmotach, lewym czy prawym sierpowym lub prostym, zdejmują z siebie marynarki, a widziałem też wypadek, że i koszulę zdjął z siebie jeden z przygodnych bokserów — i zaczynają walczyć na placu targowym otoczeni ciżbą ludzką. Jeden cios na dziesięć wymierzonych bywa celny, reszta idzie w próżnię, przy czym i bokser traci czasem równowagę i... leży. Przeciwnik czeka cierpliwie, aż się drugi podniesie, zaczyna się walka od nowa do czasu, aż przygodni sędziowie orzekną, że obaj przeciwnicy — wygrali mecz.

Gra, choć prowadzona po pijanemu, powinna być „fair“, a biada takiemu, który wali na oślep, zwłaszcza gdy uderzy leżącego.

Leją go wtedy wszyscy, którzy stoją najbliżej. Epilog odbywa się w komendzie Milicji Obywatelskiej.

Członkowie M. O. w Katowicach mają często ciężką pracę z pijakami i awanturnikami.

Zdarzają się wypadki porwania się pijanego (niekoniecznie Ślązaka) na milicjanta. Ten ostatni będący w służbie, a zatem w stanie trzeźwym, gdy otrzyma niespodziewany cios, nokautuje przeciwnika, wsadza na wózek i odwozi do komendy na wytrzeźwienie.

Bójki na pięści są częste, a prawie zawsze międzydzielnicowe, względnie międzymiastowe. Czasem Lwów — Katowice, czasem Sosnowiec — Chorzów, Bielsko — Mysłowice, czy Katowice — Warszawa.

Przykład jest zaraźliwy, bo i kobiety często wszczynają z sobą walki. W tych wypadkach, prawie zawsze dochodzi do zwarcia, przy czym świadkowie nie kwapią się wcale do odegrania roli sędziów, by rozdzielić walczące z sobą hetery. W walkach kobiet padają ofiarą loczki, noski i bluzeczki. Chodzi później taka osoba po placu dumna, że walczyła publicznie i że była podziwiana przez gawiedź. W ciągu sierpnia widziałem naocznie trzy walki stoczone przez kobiety.

I dziwne, że i w tym wypadku były to walki międzymiastowe — przeważnie Będzin — Katowice, lub Katowice — Sosnowiec.

Katowice są miastem czystym. Zamiatanie ulic zaczyna się już o świcie, później poprawia się co kilka godzin aż do wieczora, dlatego też porządek stale jest utrzymywany i... przestrzegany. Jest sporo koszów żelaznych na odpadki, a przechodzień nie widząc kosza, użytą zapałkę nie rzuci na zamieciony chodnik, lecz po zagaszeniu chowa spowrotem do pudełka.

Jeden tylko zakamarek, obok łaźni miejskiej jest prawie zawsze zaśmiecony i niedomiatany przez handlujących jak należy. Zakamarek ten zwie się w języku Ślązaków „Sosnowiec“. Ślązacy nie przyznają się do tego kącika.

Nie znam statystyki ruchu ludności w Katowicach, ale na oko można określić, że około 30 proc. mieszkańców miasta stanowią przybysze z różnych stron kraju, z nich najliczniejsi są lwowianie. Są tu przedstawiciele Warszawy, Krakowa, Wilna, Poznania, Będzina i wielu innych miast i miasteczek całej Polski.

Istna wieża Babel — akcentowa, nie językowa, bo język ten sam.

Nie brak i Żydów przeważnie w średnim i starszym wieku. Dzieci żydowskich — niemowląt jest bardzo mało, ale dzieci starszych i młodzieży żydowskiej do lat 20. nie znajdzie na lekarstwo. Bestialstwo Niemców ujawnia się dopiero teraz, gdy się naocznie widzi brak dzieci i młodzieży żydowskiej wymordowanych z kretesem przez zbirów hitlerowskich.

Ten sam los czekał i nas Polaków. Zdołaliśmy się wykręcić haniebnej śmierci z rąk. Tym czujniejsi winniśmy być na wszelkie próby usamodzielniania się Niemców, pozbycia się opieki państw zwycięskich, okupujących Niemcy i odrodzenia się przemysłu niemieckiego.

Administracja tyg. „Wieś“ w związku z podwyżką ceny papieru jest zmuszona podnieść cenę numeru do 10 zł. W związku z tym podwyższona została prenumerata.

PRENUMERATA „WSI“:

miesięcznie	40 zł
kwartalnie	120 zł
półrocznie	240 zł

Należność należy wpłacać przekazem pocztowym na konto Nr PKO VII-1080.

Redaktor naczelny: **Jan Aleksander Król.**

Redaguje Komitet

Adres redakcji i administracji: Łódź, Piotrkowska 96, tel. 100-98.

Redakcja rekopisów nie zwraca.

Wydawca: Zarząd Główny Zw. Samopom. Chłopskiej.

Ceny ogłoszeń: kolumna zł. 60.000, 1/2 kolumny zł. 30.000, 1/4 kolumny zł. 15.000, 1/8 kolumny zł. 8.000, 1/16 kolumny zł. 5.000. Ogłoszenia przyjmuje administracja tyg. „Wieś“, Łódź, Piotrkowska 96. I p., telefon 100-98.

Drukarnia Nr. 4 Sp. Wyd. „Czytelnik“ — Łódź ul. Żwirki 2. D—015745